

Fot. ANTONI ŁOPUCH

## Franciszek Łojas — Kośla

### Matka żołnierza

Czekała lat kilka —  
czas pobilił jej włosy  
rodził nadzieje, przywracał  
zwątpienie:  
Żyje czy umarł? —  
Umarł czy żyje?  
... tak nieskończenie.  
Wyszła na drogę...  
Wiosenny dzień. Idą twarze  
okrzyki, śpiew...  
— Synu! Ja ci się poskarżę:  
Cierpiałam...  
Bezsenne noce, tyle nocy.  
Popatrz, moje włosy —  
serce w rozpacz!

Czy to ważne.

Czekała lat kilka...  
nieraz pamięcią  
powraca,  
fotografie z szuflady wyciąga  
z fotografii oczy się śmieją...  
„Mój mały, mój mały” —  
powtarza.

Wciąż żyje nadzieją.

Gwałtowny bieg zdarzeń politycznych sprawia, iż coraz więcej naszych przyjaciół i sympatyków pisze o potrzebie utworzenia regionalnego forum wymiany myśli. Zanim podejmemy próbę urzeczywistnienia tego projektu, należałoby — choćby z grubsza — naszkicować program ideowy, wyjaśniający kim dzisiaj jesteśmy, co myślimy, ku jakim celom chcemy zmierzać.

Przeczytaliśmy deklarację działającego od kilku miesięcy w Krakowie Stowarzyszenia Lewicowej Inteligencji. Może publikowane niżej jej istotne fragmenty zapoczątkują dyskusję o naszym programie? Czekamy na wypowiedzi — także na opinie osób, które jesienią ubiegłego roku współtworzyły, bądź wspierały „dunajcowski stół”.

★

Polacy znowu weszli na bardzo ważny i trudny odcinek swej drogi przez historię. Przekrywamy czas przewartościowań. Czas nadawania świeżych nazw, formułowania świeżych ocen, głoszenia świeżych prawd, a bywa też zresztą, że i świeżych nieprawd: to znajdujących źródło w nie domyślonej miłości ku prawdzie właśnie, to nieraz powodowanych przez zapiekłość czy odwet tych, którzy czują, że ich ukrzywdzono bądź wyprowadzono w pole. Gorczy miesza się z nadzieją, myśl o przeszłości z myślą o przyszłości.

Placimy dzisiaj bolesną cenę za dziesięciolecia mówienia w Polsce — zwłaszcza w kręgu polskiej lewicy — półszczerściami, półprawdami, słowami zastępczymi, optymistycznym cytatem z klasyków zamiast szorstkiego opisu rzeczywistości. Placimy koszt mówienia zaledwie części tego, co myśli się naprawdę. Placimy za nieujawnianie w porę konfliktów oraz sprzeczności, z

których składa się ów nasz — jak i wszelki inny — świat rzeczywisty. Koszt zdyscyplinowanego samoograniczenia, które tak wielu z nas narzuciło sobie wolań, w imię szlachetnej lojalności wobec wymagań wielkiej sprawy, z jaką związaliśmy nasze życie. I całkiem jak to zdarzało się pokoleniom poprzednim, zdów trudno nam o pewność, co wyniknie na koniec z naszego wysiłku, z naszej dobrej wiary; popiół nadaremności i omylnej decyzji, czy gwiazdzisty diament osiągnąć tak trwałych, jak tego narodowi potrzeba.

Uważamy, że czas dzisiejszy jest czasem dla inteligencji. Bo każdy czas w dziejach jest czasem dla inteligencji, choć często przeczyła temu praktyka. Ilekroć ludzie krótkowzroczni wobec spraw społecznych albo wręcz mało rozumni starają się umniejszyć szanse działania inteligentów jako grupy twórczego myślenia w narodzie, tylekroć naród wychodzi na tym bardzo źle. Być inteligentem to znaczy umiejętnie służyć zbiorowości, swojemu społeczeństwu: głową, zdolnościami, wiedzą i wyobraźnią. Dlatego upominamy się publicznie o należne inteligentom miejsce w naszym kraju. Nie o żaden przywilej się upominamy ani o żaden prymat. Ale o to, by ugruntować i upowszechnić przekonanie, iż istnieć, przetrwać, rozwijać się naród będzie mógł tylko pod warunkiem poszanowania dla własnej zbiorowej myśli. Wszędzie tam, gdzie z jakichkolwiek przyczyn — pseudodoktrynalnych bądź po prostu konkurencyjnych — inteligencja jako grupa jest nie doceniana albo i spychana na daleki plan społeczny, wszędzie tam rychło do głosu rozstrzygającego dochodzą karirowicze, prostacy i egości. Pora, byśmy otrząsnęli się z ich wymuszonej na społeczeństwie dominacji.

Uważamy również, że czas dzisiejszy jest czasem dla lewicy. Ponieważ uważamy, że wszelki czas od dobrych dwóch stuleci jest czasem dla lewicy. A zatem także i nasz, w którym z rozmaitych stron ostrą falą podnoszą się antylewicowe hasła, zarzuty, groźby, dyskwalifikacje. Nie ma powodu, aby poddawać się ich naciskowi, lękać się tej nieprzychylniej fali. Kto wybrał dla siebie postawę postępową, demokratyczną, rewolucyjną, wybrał trafnie. Upominamy się o godność lewicy polskiej, o jej piękną i czystą tradycję, krzewioną i wzbogacaną hartem tyłu pokoleń, od Kollatajów i Jezierskich począwszy, przez Edwarda Dembowskiego, przez Mickiewiczowską „Trybunę Ludów”, Lelewela, Wróblewskiego i Waryńskiego, przez bohaterów socjalistów i komunistów, ludowców i demokratów, aż po tych, którzy poważyli się złożyć fundament pod Polskę sprawiedliwą — i mieli też później odwagę walczyć o sprawiedliwość Ludowej Polski, o jej moralną autentyczność,

niezależnie od wszelkich już istniejących instytucji lub organizacji, pragniemy precyzywać i wypowiadać publicznie swój pogląd w kwestiach społecznych, politycznych, ideologicznych, światopoglądowych. Współtwórcę Polskę tworzącym myśleniem o Polsce. Chcemy przymocować do krzewienia kultury politycznej w społeczeństwie. Dlatego też będziemy mieli oczy i umysły uważnie otwarte na wszystko, co u innych niż my — dzisiejszych, dawniejszych — wyjdzie nam się polityczną mądrością i odpowiedzialnością.

W naszych działaniach, dyskusjach i polemikach zamierzamy kierować się zasadą, że o słuszności decydują mają fakty, że żadna dobra intencja nie może być traktowana nieprzejrzanie i żadna wartość nie może ustępować przed pewnikami przyjętymi z góry.



# ILE ZA CO?

**Dolary u nowosądeckich „koników”** kosztowały 29 sierpnia 8700 zł, bony — 8500 zł. A oto ceny skupu walut, oferowane przez kantor PKO (tego dnia walut nie sprzedawano): dolary 8000 zł, marki zachodniemieckie — 3900 zł, franki francuskie — 1100 zł, franki szwajcarskie — 4400 zł, funty — 12000, austriackie szylingi 500 zł, bony 7700 zł.

**Srebro** w monetach, srebrnych wyrobach i złomie sprzedawane „Jubileroi” osiągało ceny: próby 1000 — 200 tys zł za kilogram, pr. od 940 do 998 — 188 tys. zł, pr. od 875 do 939 — 175 tys. zł, pr. od 800 do 874 — 160 tys. zł, pr. od 750 do 798 — 150 tys. zł, pr. od 650 do 749 — 130 tys. zł.

**Masłany rynek.** Jajka — od 120 do 150 zł. Jabłka — od 600 do 800 zł za kilogram, śliwki węgierskie — od 300 do 500 zł, renklody — od 500 do 600 zł, mirabelki — 500 zł, kilogram suszonych śliwek — 1000 zł, kilogram brzoskwiń — 1800 zł, gruszek — 900 zł, litr borków — od 1600 do 2400 zł, półlitrowy słoik czernic — 1000 zł, litrowa miarka bobu — 700 zł, kilogram ziemniaków — od 230 do 250 zł, fasoli sparagowej — 700 zł, cebuli — 400 zł, pomidorów — od 600 do 800 zł, ogórków — od 800 do 1100 zł, buraczków ćwikłowych — 100 zł. Pęczek marchewki — 150 zł, czerwonej rzodkiewki — 70 zł, białej — 50 zł, wiązka kopru 250 zł, sałata — 50 zł, słonecznik — od 200 do 500 zł, mały seler — 140 zł, pęczek liści selera — 50 zł, zielonego kopru — 100 zł, por — 100 zł, kapusta — od 100 do 300 zł, kapusta włoska — 150 zł, kolba kukurydzy — 100 zł, jarmuż — 500 zł. Dziesięć bratków — 500 zł, bukiet astrów — 250 zł, róża — od 100 do 150 zł, goździk — 70 zł, mietczyk — 100 zł, cebulki tulipanów — od 50 do 100 zł.

**„Ciuchy”.** Dżinsowa kurtka podobita sztucznym futrem — 75 tys. zł, kolorowa szaszka na pasku (niezbędne wyposażenie każdego waluciarza) — 15 tys. zł, damska koronkowa bluzka „Clasic” — 34 tys. zł, worek żeglarski — 20 tys. zł, dwuosobowy używany namiot — 60 tys. zł, piankowy materac turystyczny — 15 tys. zł. Dezodorant „8 x 4” — 6 tys. zł, komplet śniadaniowy z ćmielowskiej porcelany — 50 tys. zł, sześć radzieckich pozłacanych widelców — 35 tys. zł. Młynek do kawy produkcji NRD — 40 tys. zł, półautomatyczny rzutnik przezroczony „Diapal 150” — 90 tys. zł, czarno-biała klisza ORWO NP 20 — 1800 zł, nasadka udarowa do wiertarki — 10 tys. zł, elektryczna grzałka do herbaty — 2 tys. zł.

Od lat z zapalem rozprawiamy o równości sektorów gospodarczych. Nie bez przyczyny. Podstawowym instrumentem sterowania rozwojem rzemiosła, czy szerzej — sektora prywatnego — przez całe lata był system światła. Raz zapalano światło zielone, a potem nagle czerwone. Zielone świeciło zwykle krótko, a czerwone dłużej. Sektor prywatny był istotnie gniebiony — pod wieloma względami miał znacznie gorsze warunki funkcjonowania niż sektor państwowy czy spółdzielczy.

Nieopóźnienie jednak sytuacja zmieniła się. Dziś tym upośledzonym sektorem jest sektor uspołeczniony — państwowy i spółdzielczy. W tych warunkach udowodnienie wyższości sektora prywatnego nad uspołecznionym staje się coraz łatwiejsze. Nie pierwszy to nasz polski paradoks. Tyle tylko, że ten jest szczególnie niebezpieczny. I zupełnie niezrozumiały. Wygląda na to, jakby socjalistyczne w końcu państwo bardziej dbało o rozwój gospodarki prywatnej, niż o warunki funkcjonowania własnej bazy — gospodarki państwowej i spółdzielczej.

W powodzi rozmaitych dyskusji i dywagacji ekonomicznych umknąć nam jakby problem podstawowy.

Powszechne jest mianowicie stwierdzenie, iż istniejący model przedsiębiorstwa państwowego, funkcjonującego w dotychczasowej strukturze zarządzania, jest przetykaniem. Dlaczego? Odpowiedzi na te pytania są bardzo różne. Jedni mówią, że dlatego, iż jest to z reguły duże przedsiębiorstwo, a przyszłość mają małe firmy. Jeśli tak faktycznie by było, to dlaczego nikt nie rozważa amerykańskich, zachodnioeuropejskich czy ponadnarodowych korporacji? Inna „diagnoza” brzmi: państwowe przedsiębiorstwo jest i będzie nieefektywne, bo jest... państwowe. Państwowe, a więc niczyje i uratować je może tylko prywatyzacja. Dziwnie to rozumowanie. Państwowe przedsiębiorstwo nie może być niczyje, skoro jest przecież własnością państwa. I to właśnie państwo powinno stworzyć wszelkie warunki, aby przedsiębiorstwo było efektywne.

Potrzebne są zmiany, i to daleko idące, a nie oczekiwanie na pogrzeb gospodarki uspołecznionej. Ładnie wyglądałoby po tym pogrzebie...

Jakie zmiany są potrzebne? Przede wszystkim potrzebne jest stworzenie wszystkim sektorom gospodarki jednakowych warunków prowadzenia działalności gospodarczej. Gospodarka uspołeczniona nie może mieć gorszych warunków funkcjonowania niż gospodarka prywatna. I dopiero wtedy sensowne będą rozważania o efektywności poszczególnych sektorów, o konkurencji między nimi, o ich rzeczywistej roli w życiu społeczeństwa. Niech biegna, ale tą samą trasą i wszyscy — z wyłączonymi hamulcami.

Obowiązujące ustawodawstwo w zasadzie respektuje zasadę równorzędności

## Jazda z zablokowanym hamulcem

wszystkich trzech sektorów. Dotyczy to swobody podejmowania działalności gospodarczej, zatrudniania siły roboczej, dostępu do kredytów i zaopatrzenia materialowego. Zbliżone, choć zróżnicowane — specyficzne dla różnych sektorów są istniejące obecnie rozwiązania finansowo-podatkowe. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, że tylko firmy prywatne nie są objęte przepisami dyscyplinującymi wypłaty wynagrodzeń ani normami ustawy o cenach. Jeśli płace i ceny w odniesieniu do przedsiębiorstw uspołecznionych są limitowane przez państwo normy prawne, to nie mówmy o pełnej samodzielności tych przedsiębiorstw.

Wycięg ekonomiczny, w którym uczestniczą trzy sektory naszej gospodarki, nie jest w istocie wycięgiem, lecz jego parodią. Dwaj uczestnicy owej parodii mają naciśnięte hamulce... I tylko ogromna moc silników sprawia, że w ogóle się poruszają...

Te hamulce trzeba jak najszybciej odblokować. Ze przedsiębiorstwa będą za dużo płacić? I tak czynią — od lat martwimy się przecież, iż rozmaite misterne przepisy dyscyplinujące wypłaty wynagrodzeń nie są skuteczne, a tymczasem zaniebujemy myśleniu o tym, jak zwiększyć ilość i poprawić jakość produkcji. Czy ceny będą rosły? I tak rosną. W nowych warunkach drogi towar może będzie wreszcie do kupienia w sklepie. W obecnych — trzeba go zdobywać przez rozliczne „dojścia”, placąc przy tym spore „górkę”. Na jedno wychodzi... Nie na jedno, bo dzisiejsza sytuacja prowadzi nas tylko do stagnacji, a ta nowa daje szansę rozwoju.

Dostosowywanie ilości pieniądza w obiegu do tzw. masy towarowej na rynku nie może odbywać się przez hamowanie rozwoju gospodarki uspołecznionej. Ograniczenie przedsiębiorstwom swobody kształtowania cen i płac do niczego nie prowadzi. To znaczy prowadzi — do tego, czego właśnie świadkami jesteśmy. Ważnym instrumentem dostosowywania ilości pieniądza do podaży w większości krajów jest opodatkowanie dochodów osob-

tych ludności. Jeśli gospodarka się rozwija, to ludzie więcej zarabiają, a od swych zarobków placą stosowne podatki. My wybraliśmy inną drogę — martwimy się tylko o to, żeby ludzie z gospodarki uspołecznionej za dużo nie zarabiali. O podatku od dochodów osobistych mówi się u nas od lat, przygotowuje się koncepcje i warianty. Bez wątpienia jest to trudna operacja, choć przecież dla nas nie taka mało znana, biorąc pod uwagę choćby doświadczenia z podatkiem wyrównawczym. I zgoda, że wprowadzenie podatku od dochodów osobistych musi być technicznie przygotowane. Ten podatek musi być przede wszystkim — jak powiadały finansisci — ściągalny. Oszustwo w zeznaniach podatkowych nie może się opłacać. Musi być surowo karane.

To wszystko prawda, ale ręce opadają, gdy słyszy się, że wprowadzenie podatku od dochodów osobistych możliwe będzie dopiero w 1991 roku. Ze przez kolejne dwa lata będziemy żyć z programi wzrostu płac i ze sztucznymi, łatwymi do sforsowania barierami cenowymi. Ze jeszcze dwa lata fortuny będą zbijać różni pośrednicy — prywatni i ci ze spółek. Ze jeszcze przez pewien czas przedsiębiorstwa będą koncentrować się na poszukiwaniu możliwości obejścia obecnych zasad, nie mających nic wspólnego z obiektywnymi prawami ekonomicznymi. I że my wszyscy przez ten czas tracimy chęć do pracy.

Jeśli wiemy co robić, to róbmy to wreszcie. Zajmujmy się poważnie podstawą naszej gospodarki, a nie jej obrzeżami. Jeśli w tych nowych warunkach zechcemy dotować niektóre przedsiębiorstwa, bo produkują one rzeczy, które powinny być tanie, to dotujmy je. Pozostałe — niech walczą o swój byt, niech konkurują, biją się o wysoką efektywność. Nie ma innego sposobu, żeby wreszcie zacząć tę reformę gospodarczą...

JERZY GODULA

## Zaprosili nas

● Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Czechów i Słowaków w Polsce do Krempach na VI Przegląd Orkiestr Dętych połączony z obchodami 45 ro-

cznicy Słowackiego Powstania Narodowego;

● Kuratorium Oświaty i Wychowania na naradę inspektorów oraz dyrektorów szkół i placówek oświatowych w związku z rozpoczynającym się rokiem szkolnym 1989/90;

● Rada Solecza w Brunarach na dożynki.

## Warto wiedzieć, że...

Swoje przemyslenia dotyczące samorządu lokalnego prezentuję tym razem przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Gorlicach — **TOMASZ MIERZWIŃSKI**:

— Wybory do samorządów lokalnych wymagają solidnego przygotowania legislacyjnego, organizacyjnego i propagandowego. Trzeba stworzyć nowe ramy prawne, a także rozpracować problemy działalności samorządów, przygotować społeczeństwo do tego, by chciało i umiało wziąć lokalne sprawy we własne ręce. Należy pozyskać do samorządów młodzież, wykształcać jej zapas, energię i świeżość spojrzenia na to, co się wokół dzieje. Konieczne też jest korzystanie z doświadczenia starszych. Jeśli społeczeństwo widzi jasno i precyzyjnie nakreślony cel — jest zdolne do wyrzeczeń i pracy społecznej. Potwierdzeniem tego jest chociażby rozbudowa czynem

społecznym szkoły nr 4 w Gorlicach: pracowali rodzice, nauczyciele, młodzież, pomagali robotnicy i inżynierowie z „Glinika”. Uważam, że autentyczne samorządy lokalne są szansą skutecznego rozwiązywania wielu problemów. Z przygotowaniami do samorządowych wyborów nie można więc zlekceżyć, ale też nie wolno się zbytnio spieszyć.

Abymy rada narodowa jako organ samorządu mieszkańców była faktycznie najwyższą władzą w terenie — należałby stworzyć prawne i finansowe warunki samodzielnej podejmowania decyzji. Wymaga to zmiany wielu przepisów. Trzeba zapewnić radzie samofinansowanie się poprzez wypracowywanie dochodów własnych i udział w dochodach działających na podległym jej terenie jednostek gospodarczych. Budżetowi lokalnemu nie mogą grozić interwencje budżetu wyższego szczebla w ramach redystrybucji środków. Decyzje rady powinny podlegać jedynie sądowej ocenie legalności, nie mogą ich dotyczyć interwencje rad wyż-

szego szczebla. Rada musi odczuwać, że jest najwyższą władzą w terenie, wybraną z woli mieszkańców i przed nimi się rozliczającą. Ludzie pragną sami określać sobie cele i to należy zagwarantować lokalnej władzy jako reprezentantowi społeczeństwa. Przyszły samorząd powinien czerpać środki finansowe poprzez udział w podatku dochodowym przedsiębiorstw, w podatku od płac, od nieruchomości, od dochodów osobistych. Winiem też pozyskiwać dywidendy od korzystania z funduszu założycielskiego przedsiębiorstw, mieć udziały w spółkach. Inne źródła dochodów — to przetargowa sprzedaż gruntów w ręce prywatnych inwestorów, w tym również inwestujących w drobną wytwórczość. Może przy ekonomizacji ochrony zdrowia wypracuje się też określone środki i chociaż częściowo zrefunduje wydatki. Rozszerzenie dochodów rady narodowej poprzez obrót kapitałem to nowa droga pozyskiwania środków.

Nie wiem natomiast czy samorząd uzyska dochody z mienia komunalnego. Przystępując, że w skład tego mienia wejdą grunty wraz z obiektami i urządzeniami, szkoły, przedszkola, żłobki, przychodnie i ośrodki zdrowia, szpitale, zakłady pomocy społecznej, biblioteki, domy kultury, muzea, obiekty sportowo-turystyczne, parki, zielenie, targowiska, komunikacja miejska, łaźnie, szalety, obiekty mostowe, cmentarze, budynki mieszkalne, urzą-

dzenia wodociągowe, kanalizacyjne, ciepłownicze, gazowe, energetyczne, oczyszczalnie ścieków oraz grunty Państwowego Funduszu Ziemi. Dotychczas cała ta działalność wymagała dotowania i przypuszczalnie nigdzie w świecie nie jest dochodowa. Sądzę, że uchwalenie ustawy o mieniu komunalnym spowoduje konieczność nowych uregulowań prawnych dotyczących funkcjonowania gospodarki miejskiej. Musi ona opierać się na zasadach rachunku ekonomicznego. Uważam, że miejscowy szpital powinien stanowić jeden organizm gospodarczy z siecią przychodni rejonowych i zakładów. Komunikacja miejska mogłaby działać w ramach MPKGK lub powinna być wiązana w strukturę PKS. Zadecydować o tym powinien rachunek ekonomiczny. Opłaty za wodę, kanalizację, odprowadzanie ścieków, wywóz śmieci kalkulować należy tak, by nie trzeba było dotacji.

Samorząd takiego miasta jak Gorlice powinien dysponować własnymi służbami architektonicznymi i geodezyjnymi, które mogą ponadto na zasadach usługowych spełniać funkcje rejonowe. Winiem też mieć własne służby inwestycyjne oraz przedsiębiorstwo budowlane o rejonowym zasięgu działania. Obawiam się, że przyszły samorząd może mieć problemy z rozwinięciem budownictwa mieszkaniowego ze względu na bardzo wysokie koszty uzbrajania terenu, dostawy ciepła i



# Uczyszcie brzuchy!

Niedawno pisaliśmy o sądeckim barze mlecznym, dzisiaj będzie o zakopiańskim. Jest sławny w całej Polsce. Schodzący ze szlaków turyści od lat stoją się jedynie tutaj i z ust do ust przekazują wiadomości, że jeśli gdzieś można dobrze zjeść i tanio, to tylko w barze u wylotu Krupówek. Tam są najlepsze kluski i racuchy, i pomysłowe wręcz fantazyjne w kompozycji omlety z owocami i bitą śmietaną.

Lecz każda legenda przemija. A w tym przypadku legenda i dobra stawa ostaną złą rzeczywistością. Zobaczymy, jak wygląda zakopiański bar mleczny w pełni sezonu, w czwartkowe popołudnie. Kolejowy tłum wylewa się po schodkach na ulicę. Ludzie stoją i czekają cierpliwie i pokornie, choć nie wiedzą na co i jak długo to potrwa. Jądnospos ogłoszony jest bowiem konspiracyjnie drobnym drukiem na świstku A-4 i niedostępny do tego stopnia, że dopiero po odstaniu 1,5 godziny klient z zalem dowiaduje się, że stał po zimne

resztki makaronu w sosie albo bez. Zresztą szybko go pociesza, że i szczęśliwsi przed nim niewiele więcej dostali. Wybór dań od razu był wązki i banalny. Nic z wymyślnych pierożków i naleśników w Zakopanem. To zresztą nie dziwi przy tak liczny tłumie, kto by dla niego te pierogi lepił. Ale daleczego w porze, kiedy prawdziwi turyści ani jeszcze myśli schodzić ze szlaku, zostają tylko rozziapane ziemniaki z grubo pociętą kapustą i najwyższy omlet z nieapetyczną kulką pulpy jableczanej—tego nie można wytłumaczyć. Czemu nie da się ugotować wielkiej kaczki budyniu na świetnym zakopiańskim mleku, albo cebryka pomidorowej na pustej żółdce? Tymczasem stoimy przy kasie, a raczej dopiero w drzwiach, bo kolejka wcale się nie posuwa; nie można mieć zbytniej pretensji do liczącej ospale pani, która jest zychliwą góralką, a nie kwalifikowaną urzędniczką-kasjerką. Byłaby na to oczywista rada: zatrudnić w

sezonie nie samotną panią, ale dwie. Lecz pewnie nie ma kogo zatrudnić.

Smak zakopiańskich potraw wart jest zapamiętania, byle szybko. Gorzej jest już tylko w Krakowie. I ceny. Porcja leniwych, w których widnieją tylko nieciekome okruszyny sera, kosztowała w sierpniu 420 zł. Ziemniaki, wyjątkowo wstrętne z grubo posiekany gładem kapusianym—220. Omlet z dżemem—powyżej 500. Jeśli ktoś do takiego dania chce zamówić zupę, śmietaną czy kefir—zapłaci i 1000 zł. A przecież dostanie nie obiad, tylko zastępstwo obiadu: do świeżych witamin, surówek, bez mleka i masta. Toteż wielu głodnych jednak rezygnuje: nie chcą być tak nabiani w butelkę albo po prostu nie stać ich na bar mleczny codziennie. Nie stać na bar? Owszem, i tacy są w sierpniu.

Smutna rzecz w tym, że w Zakopanem nie ma nic tańszego. Mała zapiekanka kosztuje na ulicy około 400 zł. Hot-dog, czyli mówiąc prawdę bułka ze strzępem kiełbasy—500, pizza z niedopieczonym serem—600. Ze w Zakopanem zawsze było drogo? Owszem. Niby nie każdy musi jeździć w góry, nie każdy musi wypoczywać, nie każdy musi jeść.

ZOFIA SZLACHTA

Urynkowanie gospodarki żywnościowej jest faktem. Na razie społeczeństwo odczuwa jego negatywne skutki, pozytywne jeszcze raczej nie widać. Będą mogły stać się widoczne najwcześniej za kilka miesięcy. Najbardziej wszystkich szokują zmieniające się, oczywiście w górę—ceny. Czy wszystkie te skoki są w pełni uzasadnione?

Jednostki produkcyjne i handlowe powinny wytłumaczyć swoim klientom, z czego bierze się taka wysoka cena, 200—400 procent wyższa niż płaci się rolnikowi w skupie. Czy to rzeczywistość wina tylko wielu pośredników, skoro prywatni rzemieślnicy (przecież z pośredników nie korzystający) swoje wyroby kalkulują podobnie? Czy rzeczywistość wszystkie koszty wliczone do ceny są obiektywnie uzasadnione? I wreszcie—czy można akceptować wszystko, co się dzieje na rynku żywnościowym według prawa podaży i



popytu, ale w warunkach niedoboru towaru na rynku?

Kilkunastodniowe obserwacje początku jednostek handlowych wskazują, że nie wszystkie potrafią działać w warunkach wolnego rynku. Niektóre nadal czekają na rozdzielniki, przydziela polecenia—nie przejmając własnej inicjatywy. Całą niemoc, która wkradła się do działalności niektórych struktur (nieodolność, niedowład organizacyjny, budownictwo)—próbują się tłumaczyć przyczyna-

mi obiektywnymi. A tak nie jest. Czas najwyższy, aby problemami tymi zajęły się komisje rad narodowych, rady nadzorcze spółdzielni oraz kompetentne organa kontroli.

Spór wielu opinii o urynkowaniu—w pamięci utkwiła mi następująca: *W wylizaniu krzywud chłopskich, dopominaniu się o ich naprawienie, nie ma rzeczowej i prawdziwej analizy teraźniejszych i przyszłych konfliktów między wstą i miastem. Które są i będą, bo taka jest obiektywna kolej rzeczy. Należy urecz przypuszczać, że urynkowanie żywności w naszych warunkach gospodarczych i społecznych konflikt ten dramatyczny i spórstry. Publiczna, parlamentarna gra polityczna, powinna go ujawnić i nazwać. Powinna zderzyć ze sobą rące, które są z natury nie do pogodzenia, a jednak godzone być muszą i bywają.* („Polityka” nr 33)

## „Lego” dla dorosłych

Co podkusiło Marka Pawlika, by otworzyć w marcu tego roku jednoosobową firmę? Jeszcze niedawno był niezłe zarabiającym brzydząstą w Sądeckich Zakładach Naprawy Samochodów, cieszył się uznaniem kolegów (wybrano go na sekretarza Rady Pracowniczej). Jak sam mówi pocignęła go swoboda działania, jaką mają „prywatni”, a także możliwość dysponowania własnym czasem i spodziewane zarobki.

W prowizorycznym warsztacie przy ulicy Dąmajowej powstają gipsowe pustaki ścienne. Wyposażenie firmy na razie skromne: pojemniki na gips, zbiornik wody, urządzenie do mieszania obu składników, i—najważniejsze—tekstolitowe formy, nadające płynnemu gipsowi żądany kształt. Patrząc na proste wyposażenie zakładziku trudno uwierzyć, że miesiąc-

nie powstaje tu około dwa tysiące pustaków. Pan Marek mógłby wytwarzać ich więcej, ale na razie jego wyroby nie mają takiego powodzenia jak „zwykła” cegła czy pustaki. Sądeczanie nie są przekonani, że z czegoś tak nietrawnego jak gips można zbudować dom. W innych województwach gipsowy budulec nie jest niczym niezwykłym: partie pustaków kupił niedawno klient spod Tarnowa, a dwa tysiące sztuk pojechało aż w bielskopodlaskie.

Gipsowe pustaki ścienne RC (tak brzmi ich pełna nazwa) mają wady i zalety. Zaletą na pewno jest to, iż układa się je „na sucho”, bez użycia zaprawy. Ścianę z pustaków RC można zbudować samemu, nawet nie mając większego pojęcia o sztu-

ce budowlanej, a pomieszczenie wykonanych tą techniką nie trzeba tynkować. Gipsowy budulec jest ponadto zdrowy i względnie tani: do niedawna jeden pustak kosztował 650 złotych (dla porównania: pustak żużlowy—800 złotych).

Teraz wady: zewnętrzne powierzchnie ścian muszą być zabezpieczone przed szkodliwym oddziaływaniem wody (gips jest higroskopijny). Ze względu na wytrzymałościowy budynek z pustaków RC może mieć nie więcej niż dwie kondygnacje (jeśli potrzebna jest większa wytrzymałość ścian, pionowe otwory wewnątrz pustaków należy wypełnić betonem).

Budowlane „Lego” czeka na nabywców.

wody. Obecnie brakuje na ten cel środków w budżetach zarówno lokalnych, jak i wojewódzkich. Wraz z powstaniem nowych władz samorządowych postulowałby utworzenie milicji komunalnej, która by nie tylko strzegła porządku i bezpieczeństwa publicznego, lecz także egzekwowała od mieszkańców i administratorów obiektów czystość i ład.

Rada narodowa winna powołać zarząd miejski do realizacji funkcji wykonawczych samorządu. Temu zarządowi należałoby przypisać również zadania wynikające z funkcjonowania państwa, by nie tworzyć obok siebie dwóch odrębnych pionów administracji. Rada musi mieć zagwarantowany wpływ na obsadę kadrową zarządu miejskiego, strukturę administracji i zarobki pracowników. Należy odejść raz na zawsze od dotychczasowych form funkcjonowania administracji polegających na reglamentowaniu wszystkich obywateli, na zezwaniu. Trzeba w pracy terenowej administracji odejść też od programów i harmonogramów, urzędowania będącego demonstrowaniem swojej przydatności, celowości i niezbedności.

Miernikiem jej pracy winna być efektywność i skuteczność. Idziemy w kierunku wzrostu aktywności obywateli we wszystkich dziedzinach życia. Administracja winna te procesy wspierać, torować im drogę. Dewizą jej dzia-

łania nie będzie reglamentowanie życia społeczno-gospodarczego, ale pomoc obywatelom. To przyczyni się zapewne do wzrostu prestiżu pracowników zarządu miejskiego jako organu wykonawczego rady.

Przyszły model samorządowy będzie wymagał wyraźnego rozgraniczenia kompetencji rad narodowych szczebla wojewódzkiego od kompetencji samorządów lokalnych. Myślę, że wszystko to, co służy miastu i w mieście się znajduje—winno pozostać w kompetencji władz lokalnych. Jeżeli ze szczebla wojewódzkiego jakieś zadania przejdą w dół, to tylko wraz ze środkami na ich realizację. W dotychczasowej praktyce różnie bywało. Na szczeblu wojewódzkim pozostawili my merytoryczny nadzór nad szkolnictwem średnim oraz nad służbą zdrowia. Zlikwidowałbyśmy powszechnie stosowaną politykę rezerw budżetowych na szczeblu ministerstw i WRN.

Jak widzę dalsze losy Wojewódzkiego Funduszu Turystyki i Wypoczynku? Wiele przemawia za jego utrzymaniem, jako znaczącego źródła finansowania wielu potrzebnych inwestycji. Wiązać jednak nie wiadomo, jak z obowiązków świadczenia na ten fundusz zwolnić miejscową ludność.

Reasumując—należy, moim zdaniem, ukształtować taki model samo-

rządu lokalnego, by samorząd miał osobowość prawną, był traktowany jako związek prawa publicznego łączący wszystkich mieszkańców danego miasta lub gminy. Administracja samorządowa będzie mieć charakter komunalny, zostanie podporządkowana wyłącznie radzie narodowej. Zarząd miejski z naczelnikiem na czele zarządca będzie mieniem komunalnym i ponosić za stan gospodarki odpowiedzialność majątkową przed radą narodową.

Jak dokonać wyboru takiego samorządu, aby był kompetentny i zdolny do rozwiązywania trudnych problemów poszczególnych środowisk? Myślę, że w kampanii wyborczej trzeba zadać o pozyskanie do działalności w radach kandydatów najlepszych od strony fachowości, merytorycznego przygotowania zawodowego, dobrego rozeznania w problemach miasta, ludzi o wysokim autorytecie moralnym, doskonałych organizatorów życia społecznego. Są to podstawowe kryteria, które winny obowiązywać bez względu na polityczną przynależność. Problem reprezentacji wszystkich liczących się sił społecznych i politycznych oraz środowisk winien być przedmiotem przedwyborczego porozumienia w ramach stworzonej w tym celu komisji porozumiewawczej.

Wybierając swych przedstawicieli do samorządów, musimy mieć świadomość, że winni oni rozwiązywać w

# KRONIKA MILICyjNA

Rzecznik prasowy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych informuje, co się ostatnio wydarzyło w Nowosądeckim.

**Rozboje i pobiła:** W Krynicach pięciu nieznanymi sprawców pobito mieszkańca Powroźnika, po czym zabralo mu odzież i 4,5 tys. zł. ♦ Wojciech S. z Nowego Sącza i Cezary K. z Brzeziny dokonali w Gródku nad Dunajcem rozboju na pewnym mieszkańcu Rogów, zabierając mu 90 tys. zł. Jeden ze sprawców jest już w areszcie, już odzyskano ♦ Dwóch nieznanych góralczyków—Bogdan M. i Jacek M. pobito dotkliwie mieszkańca Ropicy. Sprawcy zostali zatrzymani ♦ Funkcjonariusze nowosądeckiego RUSW zatrzymali mieszkańca tego miasta—Marka F., który pobił trzy osoby ♦ 90 tys. zabrali Aleksandrowi G. z Zakopanego—zakopiańczyk Rafał W. i mieszkaniec Lisiej Góry—Józef G.

**Kradzieże i włamania:** Z geosewskiego pawilonu handlowego w Szczyrczu skradziono magnetofony stereofoniczne, tuner, stabilizator napięcia, energodłone gołarki elektryczne, różnorodne obuwie, rekawice i farby. Łączna suma strat—4 mln 100 tys. zł. ♦ Magnetowid „sanoy” zabral włamywacz z domu wczasowego „Zaczek” w Rabce ♦ Ryszardowi B. z szopy przy domu w Nowym Sączu skradziono 2 silniki elektryczne i 150 metrów kabla. ♦ Z nowotarskiego sklepu „Unifry” włamywacz wyniósł słuchawki stereo „condor”, magnetofon stereo, radiomagnetofon stereo i telewizor kolorowy „elektronik”. Suma strat—prawie 1 mln 330 tys. zł. ♦ Ze sklepu spożywczego PSS „Społem” w Rabce-Zarytem nieznanymi sprawcami skradli alkohol i czekolady łącznej wartości około 500 tys. zł. ♦ Z innego sklepu spożywczego w Rabce skradziono 60 butelek importowanego alkoholu oraz papierosy „marlboro” i „rotsman”. Straty wynoszą 1 mln 400 tys. zł. Dochodzenie ustaliło jednego ze sprawców—Stanisława Cz. z Rdzawki. ♦ Z posterunku wodno-wskawowego w Kasince Małej włamywacze zabrali... automatycznie nadajnik poziomu wody, wartości 1 mln zł.

**Inne wydarzenia:** Ryszard M.—mieszkaniec Wadowic nabywał w sklepach uspołecznionych karnisz aluminiowe i sprzedawał je po dwukrotnie wyższej cenie. Zarobił prawie 300 tys. zł, ale przyjeżdżał mu odpokutować za spekulację ♦ Nieoddziana „pamiątka” z Polski próbował wywieźć Węgier Andres K.—sprawny technicznie „colt” rocznik 1916. Celnicy w Chyżnym okazali się czujni, „colt” granicy nie przejechał ♦ Z okna na piętrze szkoły w Kałowej wypadła 9-letnia Wioletta B.—uczestniczka kolonii krakowskiej. Doznała ciężkich obrażeń ciała ♦ Trzej nieletni przestępcy dokleili dwa zera na banknotce 200 złotych i w rzekomych 20 tys. zł. próbowali robić zakupy w nowosądeckim kiosku „Ruch”.

elg

bardziej kolejności problemy gospodarcze i muszą być do tego merytorycznie przygotowane, mieć wysokie umiejętności i kwalifikacje. Radny musi umieć nawiązywać kontakt ze społeczeństwem oraz pozyskiwać ludzi do określonych koncepcji. Wspólny cel całej zbiorowości lokalnej—to nie innego jak optymalna wypadkowa różnorodnych celów grupowych i jednostkowych. Umiejętność godzenia różnic, czasem nawet sprzecznych interesów jest trudną sztuką, której członkowie samorządów muszą się uczyć.

Reforma systemu samorządowego będzie bardzo ważnym składnikiem reform politycznych i gospodarczych przeprowadzanych w naszym kraju. Każda jednakże reforma powinna zaczynać się od prawdziwej przemiany człowieka, od jego aktywności i woli zmieniania życia na lepsze. Jeśli obywatel sam u siebie, w swoim środowisku będzie już dzisiaj miał większy wpływ na życie społeczne i gospodarcze—to jutro w większym stopniu będzie się interesował rozwojem swego zakładu pracy, miasta czy gminy. Ta reforma, jak zresztą żadna, automatycznie nie uszczęśliwi społeczeństwa i jednostek. Ważna jest aktywność ludzi, która u siebie i na swoim powinna być największa.

ROMAN KOSTANECKI



Naprzeciwko dworca autobusowego PKS przy ul. Kościuski zatrzymuje się ciemnoniebieska „nysa”. Na drzwiach wymalowana białą farbą tajemnicze litery „J & Z”. Czyżby to miał być jeden z prywatnych mikrobusów, kursujących po Zakopanem? Podchodzi do kierowcy.

— *Niestety, ja nie przewożę osób* — wyjaśnia mi Jacek Szczepaniak, który razem z Zdzisławem Dziędzińskim jest właścicielem pojazdu. — *Kupiliśmy „nysę” do spółki. Na zmianę ze współwłaścicielem rozwijamy, prasę. W tym celu zawarliśmy umowę z miejscowym oddziałem „Ruchu”. Czy nam się to będzie opłacało? Pokażę czas. Dziś (11 sierpnia br.) wyjechaliśmy rozwozić gazety po raz pierwszy. A jeśli chodzi o prywatną komunikację mikrobusową, to dobrze pan trafił. Właśnie tutaj, na przystanku PKS, pod barem samoobsługowym „FIS”, mikrobusy zatrzymują się najczęściej.*

Nie czekam zbyt długo. Zaledwie kilka minut. Pojawia się kolejna „nysa”, tym razem bezowa. Nad przednią szybą duży napis — MIKROBUS, z boku, z prawej strony, na okienku przyklejona kartka. To cennik. Notuje: Kuźnice, Wojsławka, Jaszczurówka po 200 zł, Dolina Kościeliska 400 zł od osoby za kurs. Dla porównania: za ten ostatni kurs taksówkarze żądają 3200 złotych.



Fot. MICHAŁ SROKA

## TERZY RZESZUTO

# MIKROBUSY W ZAKOPANEM

Siadam obok kierowcy. Jedziemy trasą przez Wojsławkę do Doliny Kościeliskiej. W ciągu dostawnie kilkunastu sekund pozostałe miejsca są zajęte przez pasażerów.

— *Nie licząc mnie, mogę przewozić „nysą” tylko osiem osób* — informuje Władysław Wojtanowski. — *Ponad trzy i pół roku jeździłem taksówką. Zamiast stać godzinami na postoju, w oczekiwaniu na klienta, postanowiłem uruchomić własną komunikację mikrobusową. 20 kwietnia br. otrzymałem zgodę z Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta i Gminy Tatrzańskiej. Od 2 maja br. jeżdżę na zmianę z synem kuzyna, Stanisławem Wojtanowskim.*

Dziś, po niespełna czterech miesiącach pracy, mogę stwierdzić, że taka forma, szybciej i wygodniej, w dodatku taniej, komunikacji — jest potrzebna. Dlatego też, choć do tej pory zatrzymałem — na

wszelki wypadek — koncesję, rezygnuję z zawodu taksówkarza.

Mimo że na drzewach pojazdu mam wypisane cztery punkty docelowe, określające kierunek kursu, to jednak jeżdżę tam, gdzie zachodzi potrzeba. Jestem do dyspozycji pasażerów. Stąd też zdarzają mi się — i to bardzo często — kursy na życzenie nawet tylko jednej osoby. Oczywiście każdy wolałby w takim przypadku zabrać kilka osób.

Mamy zezwolenie od oddziału PKS na zatrzymywanie się na ich przystankach. Najczęściej jednak można nas spotkać przy dworcu autobusowym *vis à vis* baru „FIS”, bądź obok campingu przy ul. Zeromskiego. W moje ślady poszło jeszcze kilka osób. Ci jednak najczęściej jeżdżą do Kuźnic.

Największy kłopot stanowi dla nas prowadzenie „Podatkowej księgi przychodów i rozchodów”. Owa księжка jest duża, nie przystosowana do naszej działalności. Spośród rubryk znajdujących się na jednej stronie musimy wypełniać tylko dwie. Reszta jest niepotrzebna. Marnuje się zatem tylko papier. Oprócz tego nie możemy uwzględnić w tej książce napraw i remontów pojazdu, dokonywanych przez samego siebie, bądź w prywatnych zakładach usługowych. Dlatego zwróciliśmy się do zakopiańskiego Urzędu Skarbowego o zryczałtowanie naszych dochodów.

Dojeżdżamy pod parking w Dolinie Kościeliskiej. Zadoleni z jazdy turystami na pożegnanie stawiamy pytanie:

— *Nie można tu było wcześniej uruchomić tego rodzaju komunikacji?*

Po Wojtanowskich rejestrowali się kolejni. Już 4 maja br. zgodę na przewożenie osób (dwoma mikrobusami), uzyskał Ryszard Gudź. 7 czerwca — Janusz Kuśmierski, jeżdżący też taksówką bagażową. Od 1 sierpnia po Zakopanem kursuje „nysa” następnego taksówkarza, Jana Jarosza. Coraz częściej też taksówkarze, zamiast stać bezczynnie na postoju, podjeżdżają pod dworzec PKS lub PKP i przewożą turystów do Kuźnic, biorąc po... 200 złotych od osoby. Dokładnie tyle samo, ile

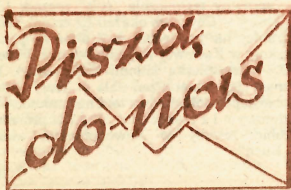
kosztuje przejazd mikrobusem. Widocznie się opłaca. A ludzie? Chętnie korzystają z tego rodzaju transportu. Widać to już, gdy dowiadują się, że za kurs góralską dorożką do Kuźnic trzeba zapłacić, bagatelka, 30 tys. złotych. Z Kuźnic, w dół — taniej, bo „tylko” 20 tys. Nie dziwnie, że dorożkarze początkowo — nie mogąc się pogodzić z faktem pojawienia się konkurencji — grozili poprzębieniem opon w mikrobusach. Skończyło się na pogroźkach.

— *Mikrobusy kursują nieregularnie, nie mają wyznaczonego rozkładu jazdy* — mówi mgr inż. Stanisława Szostak, kierowniczka Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej. — *Praktycznie jeżdżą tam, gdzie klienci sobie życzą, najczęściej do Kuźnic i do Doliny Kościeliskiej. Prywatni przewoźnicy doskonale uzupełniają sieć autobusową PKS na terenie miasta i najbliższych okolic, która (w sezonie letnim czy zimowym) jest oblegana przez turystów. Być może, iż którzyś z mikrobusów uzyskała w najbliższym czasie zezwolenie na wjazd w pobliże Morskiego Oka.*

Niektórzy z kierowców biorą się o siebie, np. Jan Jarosz oświadczył, że kursowanie na linii: dworzec PKS w Zakopanem — Paradałówka (nowe osiedle), w zupełności mu wystarcza. My ze swej strony chcielibyśmy, aby kursowali też i tam, gdzie nie ma połączenia autobusowego, np. do Doliny Strążyckiej. Obiecali, ale do tej pory tam nie jeżdżą. Nie dziwię im się, bowiem prywatni przewoźnicy muszą się kierować przede wszystkim zasadami ekonomicznymi, a my — jako wydział — nie możemy im przecież narzucać własnej woli. Rola nasza kończy się bowiem w momencie wydania zezwolenia na przewóz osób.

Dobrze by jednak było, aby właściciele mikrobusów pomyśleli o jakimś oznakowaniu swoich miejsc postojowych i przystanków. Mały wydatek, a korzyść duża. Wszak nie każdy turysta, przyjeżdżający tutaj wie o istnieniu tego rodzaju komunikacji.

Na działalność sieci prywatnych mikrobusów w Zakopanem nie wpłynęła dotąd ani jedna skarga. Widać też ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi. W najbliższym czasie bilet za przejazd autobusem PKS po Zakopanem, od przystanku do przystanku, kosztować będzie 180 zł. Tymczasem mikrobusem, za 200 zł, dojechać można w dowolne miejsce na terenie Zakopanego. Unikając ścisła, wygodnie, mając zagwarantowane miejsce siedzące i — co ważne — kulturalną obsługę.



● Czytelnik z Gorlic (nazwisko do wiadomości redakcji):

15 sierpnia kierowca autobusu PKS kursującego na trasie Gorlice — Grybów — Gorlice (godz. 12.40) zabrał w Grybowie około dziesięciu osób. Była wśród oczekujących starsza pani — lat 75 — która nie kupiła wcześniej biletu w kiosku „Ruchu”. Kierowca — mimo naszych próśb i błagań samej zainteresowanej — odmówił sprzedaży biletu. Zadaje sobie pytanie czy ten młody człowiek (kierujący „Autosą” nr rejestr. NSA 527 H) również bezwzględnie potraktowałby własną babcię?

Od redakcji: Wielokrotnie w tej rubryce chwaliśmy gorlickich kierowców (za kulturę osobistą, za czystość autobusów). Ze zdziwieniem czytamy więc list naszego Czytelnika. Prosimy dyrektora gorlickiego oddziału PKS o zbadanie tej sprawy i wyciągnięcie stosownych wniosków.

● Pełniaczą obowiązki Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody mgr Małgorzata Mordarska w nawiązaniu do artykułu red. Anny Szopińskiej pt. „Sprawa Antałówki”:

W publikacji tej został pomieszczony niewielki akapit, ale za to ważny dla spornej sprawy lokalizacji hotelu, któ-

rego inwestorem ma być TPT „Tatry” w Zakopanem. Akapit ów brzmi: „... Pozytywnie zaopiniowała projekt zmiany w planie Komisja Rozwoju Gospodarczego i radni ZSL, tudzież Konserwator Przyrody”. Należy się domyślać, że dotyczy to opinii Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody, do którego tenże projekt został również skierowany.

Do tej pory Wojewódzki Konserwator Przyrody w Nowym Sączu nie wydał w tej sprawie pozytywnej opinii zgodnej z obowiązującymi przepisami prawa. Zażądał bowiem przedłożenia wcześniej inwentaryzacji zieleni na działce przeznaczonej pod realizację tej inwestycji. Od tego właśnie uzależnione zostało wydanie jakiegokolwiek opinii w sprawie projektu zmiany (częściowej aktualizacji) miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Do 19 sierpnia br. ani inwestor, ani Urząd Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej nie okazały wymaganego opracowania. Tym samym opinia dla zamierzonej inwestycji nie mogła być wydana.

Proszę o przedstawienie powyższego sprostowania na łamach Waszego tygodnika.

Dziękujemy za sprostowanie, które dojdzie, że nie wszystkie uwikłane w spór o Antałówkę strony grają czystymi kartami. Autorka publikacji miała prawo sądzić, że jeśli na forum Rady Narodowej poważna osoba oświadcza, iż Konserwator Przyrody pozytywnie zaopiniował projekt zmiany planu, to jest to zgodne ze stanem faktycznym. W przyszłości oświadczenia tej osoby będziemy sprawdzać.

● Rolniczka z gminy Korzenna (nazwisko do wiadomości redakcji) kwes-

tionuje rzetelność przeprowadzenia urynkowania gospodarki żywnością:

W chwili, gdy do Was piszę, hodowca świni otrzymuje w punkcie skupu poniżej 1500 złotych za kilogram żywa. Sami najlepiej wiecie, ile płacicie za kilogram wieprzowiny w sklepie. A teraz zastanówcie się, co jest więcej warte: kupienie prosiąt, praca przy nich i koszt karmienia czy zabicie świni i dostarczenie jej do sklepu? Na pewno dojdziecie do wniosku, że wyhodowanie świni wymaga większego nakładu pracy i pieniędzy, niż samo jej ubicie, podzielenie i zważenie klientowi.

W praktyce jest akurat inaczej! Więcej bierze skup i handel. Widocznie koszt skupu i marża handlowa są obciążone (i to nadmiernie) przestarzałymi zatrudnieniami lub złą organizacją pracy. Warto żebyście tej sprawie się przyjrzel i zbadali całą kalkulację. Połędwica po 15 tys. zł za kilogram woła o pomstę do nieba, schab i karczek — też!

Od redakcji: Argumentacja naszej Czytelniczki wygląda przekonująco. Świnia nie składa się wprawdzie tylko z połędwicy, a kilogram żywa nie odpowiada kilogramowi mięsa w sklepie, ale mimo to zastanawia różnica między tym, co otrzymuje hodowca, a tym co płaci klient. Fachowców z Wydziału Handlu w Urzędzie Wojewódzkim uprzejmie prosimy o wnikliwe rozpatrzenie uwag rolniczki z Korzennej. Czekam na bowiem najprawdopodobniej urynkowanie całej gospodarki; byłoby więc wskazane, żeby nad tym bolesnym dla budżetów rodzinnych procesem czuwał jakiś obiektywny organ kontrolny. Oczywiście, dopóki znaczna część skupu, przetwórstwa

i handlu jest zmonopolizowana. Po rozbiciu monopoli będzie to pewnie zbytek.

● Wczasowicz, pan Lech Polkowski z Katowic:

Od wielu lat spędzam wakacje w Krościenku. Mam tutaj sporo znajomych i przyjaciół, jestem więc dość dobrze wprowadzony w miejscowe problemy codzienne, a także w historię. Zawsze podziwiałem ogromny patriotyzm tutejszych ludzi — zarówno górali, jak i Lachów. Także wasz patriotyzm lokalny. Czasem nawet miałem wrażenie, że przeraża się on w swoisty szowinizm: „najlepsze jest wszystko, co tutejsze”.

I oto ze zdumieniem obserwuję w tym roku jak gdyby znikł tego lokalnego patriotyzmu. Byłem na wycieczkach do Krynicy, Zakopanego, Nowego Sącza i zauważyłem, że niektóre ulice pozmieniały nazwy, że są nowe ulice, świeżo mianowane — lecz nie wiem czemu „importujecie” bohaterów spoza województwa? Czy rzeczywiście musicie mieć w sobie ulice Grotaroweckiego, Sucharskiego? Nie macie własnych bohaterów — którzy walczyl w Powstaniu Warszawskim i AK, byli na polskich okrętach wojennych i w Westerplatte? Nie macie Zubków, Maruszców, Stramków? Tak wielu jeszcze bohaterów zrodzonych na tutejszych ziemiach, bądź tutaj walczących o wolną Polskę, czeka na uhonorowanie! Dlaczego więc daje się swym ulicom i placom imiona ludzi uprawiające bardzo zasłużonych, ale nie mających nic wspólnego z Podhalem, Sądecczyzną?



Gdy rok temu (może półtora) rozmawiałam z naczelnikiem Szczawnicy, Romanem Trojnarakiem — wiele w nim było optymizmu, nadziei na rozwiązanie, a przynajmniej ruszenie z miejsca najwęższych problemów tego zdrowiskowego miasta. Oczywiście był naczelnik świadom trudności, wiedział, że wielu spraw nie da się załatwić od ręki, że brakuje funduszy, że trzeba czasu i... uporu — ale wierzył, że sobie z tym poradzili. Dziś wiele z tego optymizmu stracił, chociaż nie umie ukryć satysfakcji, gdy może się pochwalić jakimś sukcesem. Cóż, niełatwo przebić głową mury...

## ELŻBIETA GLINKA (2) OPTYMIZM PRZYZCZERNIONY

niec nabral urody — jego kierownik czuwał nad utrzymaniem czystości i porządku.

Czy Szczawnica jest czysta? Przynam, że trudno odpowiedzieć jednoznacznie. W bocznych uliczkach bywa różnie. Na przykład skarpa tuż przy siedzibie dyrekcji PPH jest zarzucona śmieciami. Nie widać zbyt wielkiej troski części mieszkańców o swoje posesje. Ale dostrzegam wyraźną poprawę (w stosunku do stanu sprzed roku) na głównym ciągu komunikacyjnym miasta. Wypiekano koryto Grajarcarka, gdzie przedtem walały się stare wozki, garnki, worki itp. Woda też w tym potoku czystsza, odkąd powstała oczyszczalnia przy szlachtetwskiej placówce WOP. Wkrótce — jak zapewniał mnie prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, Grzegorz Pilecki — również ścieki z masarni przestaną zanieczyszczać grajarcarkową wodę.

Podjęliśmy walkę z dzikimi wypustkami nieczystości do wód, z zaśmiecaniem miasta — mówi Roman Trojnaraki. — Na szczęście wrócił po wielomiesięcznej chorobie nasz strażnik ochrony przyrody i ostro zabrał się do pracy. W ciągu dwóch tygodni wystawił mandaty łącznej wartości 140 tysięcy złotych. Szkoda, że nie możemy zatrudnić więcej strażników, ale mamy tylko jeden etat.

Zbyt mało pracowników jest w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Trudno się dziwić, skoro płace niewiele przekraczają 50 tysięcy złotych (piszę to 10 sierpnia). W tej chwili są tylko dwie zamiataczki. Brakuje sprzętu. Brakuje funduszy na jego zakup, a nawet na utrzymanie w sprawności tego co jest. — Cudaczne są przy tym rozwiązania prawne — zauważa naczelnik. — Jestem organem założycielskim MPGK, a więc zwierzchnikiem tego przedsiębiorstwa, ale na wykonanie jakichkolwiek prac muszę z nim zawierać umowy cywilno-prawne, z wszystkimi tego konsekwencjami...

Od 1958 roku domagali się mieszkańcy ul. Ogrodowej uporządkowania tego traktu, wiodącego łukiem do Parku Dolnego do ul. Manifestu Lipcowego. Ulica wyglądała jak przeniesiona prosto ze średniowiecza — pełna wybojów i dziur, błotnista. Dziś nie sposób ją poznać: 370 metrów bieżących pokrywa betonowa kostka, trwalsza od asfaltu, jest kanalizacja burzowa, są znaki drogowe. Całość prac wykonała w trzy miesiące prywatna firma Bronisława Szczepaniaka. — Teraz mieszkańcy ul. Pod sadami domagają się uporządkowania ich ulicy — mówi naczelnik. — Zgromadziliśmy materiał na sporządzenie kanalizacji burzowej, jednak brakuje pieniędzy na opłacenie prac. Udało się doprowadzić do porządku ul. Wygon, załatwić dziury wzdłuż ul. Szlachtetwskiej i wykonać jednostronne chodniki (a jest to prawie 2-kilometryrowy ciąg komunikacyjny). Aż do Jaworka można dojechać bez obawy o resory zyska samochodu. Gładką nawierzchnię zyskała ul. Zdrojowa — od ul. Manifestu Lipcowego do kawiarni „Aida”. Dumą naczelnika jest oddana w tym roku do użytku ul. Samorody — uzbrojona w kanalizację i wodociąg, pokryta asfalem, odgrodzona od potoku Grajarcark kamiennymi murkami bądź żelaznymi, niebieszcącymi się świeżą farbą barierkami. Miejscami ulicę trzeba było wkuwać w litą skałę, co bardzo utrudniało i podrażało prace, ale wreszcie się z tym uporano.

Głównym szczawnickim traktem — ulicami Szlachtetwską, potem Szalaya, wreszcie Manifestu Lipcowego — jeżdżą autobusy PKS. Jeszcze niedawno przystanki wyglądały, że pożał się Bogże. Dziś część jest już wyremontowana, przy innych właśnie trwają prace. Dworzec PKS rów-

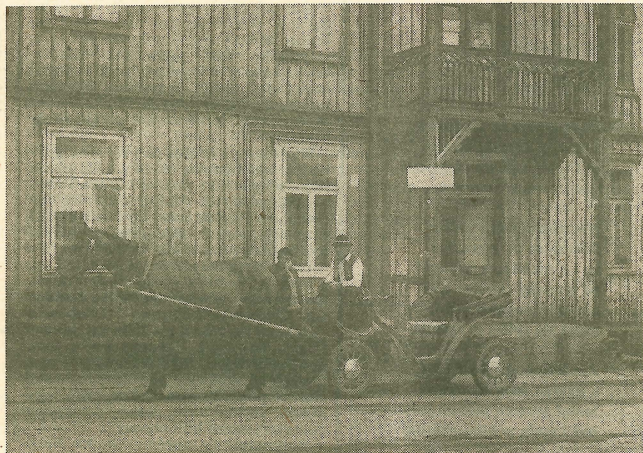
le w każdej chwili grozi wypowiedzenie. Co wtedy? Na wybudowanie czegoś z funduszy miasta nie ma co liczyć i na czyn społeczny mieszkańców — również raczej trudno. Zresztą... nawet nie mieliśmy pieniędzy na poparcie takiego czynu.

Trwa rozbudowa zaplecza Pogotowia Ratunkowego, które mieści się w budynku Ochotniczej Straży Pożarnej. W tym samym budynku ma siedzibę GOPR, a le — jak wszystko na to wskazuje — jeszcze w tym roku wbudowany będzie kamień węgielny pod gospórkę, obok której stacji kolejki linowej na Palenice.

Trudno uwierzyć, lecz budowa kolejki — już „historyczna”, bo wlokąca się z długimi przerwami od bodaj 15 lat — wreszcie ruszyła. Inwestorem są Polskie Koleje Linowe, znalazły się pieniądze — między innymi ze środków Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Turystyki. Termin ukończenia prac raczej niewiadomy — lepiej nie zapeszać.

Niewielkim może, ale satysfakcjonującym wydarzeniem będzie oddanie na użytek turystów schroniska PTTK pod Bereśni-

(CIĄG DALSZY NA STR. 14)



Fot. PAWEŁ JAROSZEWSKI



Wszyscy, którzy się z nimi zetknęli — twierdzą, że są do siebie podobni zewnętrznie jak dwie krople wody. Różnił się jednak dość znacznie charakterami. Jerzy pracował ciężko fizycznie w tarnowskim „Tamelu”, będąc tam jednym z bardziej wziętych specjalistów. Od wódki i towarzystwa stronił zdecydowanie. Dla jego brata bliźniaka — Marka życiowy sens miała fajana, wódka i śpiew. Nic więc dziwnego, że nieraz słyszało się o jego wyskokach.

Jak co roku, Jerzy S. wybrał się podczas urlopu na Podhalę, do starych znajomych, którym z reguły pomagał w cięższych pracach połowych. Tego roku wspólnie z nim pojechał też brat Marek. Gospodarz, Władysław W., z takiego obrotu sprawy był bardzo zadowolony, gdyż — niezależnie od prac gospodarskich — zaplanował na letnie miesiące wykończenie nowo wybudowanej oczwarczni.

Marek S. zaciągnął się do ekipy murarskiej, mając w tym fachu pewien zasób doświadczenia, gdyż w przeszłości pracował nieraz dorywczo na budowach. Zespół tynkarski stanowią trzech ludzi z okolic Jordanowa, a na ich czele stał doświadczony fachman — Józef T. Szefer rozdzielił prace. Było jej dużo. Pracowano więc w pocie czoła po kilkanaście nieraz godzin dziennie, gdyż umowę zawarto o dzieło.

Marek jednak od ekipy odstawał. Zdarzył mu się nawet dwie bumelki, gdy poprzedniego dnia co nieco nadużył alkoholu, a na kacu nie potrafił pracować. Mistrz patrzył na to krzywym okiem, w końcu jednak musiał się pogodzić.

Prace murarskie zbliżały się do końca. Coraz częściej członkowie ekipy zaczęli wspominać o „wiechowym”. Co to oznacza — wiedzą ci, którzy weszli w interes budowlany. Wiedział też Władysław W. Gdy więc nadszedł dzień, kiedy to ostatnie metry tynku zostały położone, gospodarz suto zastawił stół wiktuałami. Wódki jednak postawił dwie ledwie butelki. Dla przygotowanej na grubszą popijawę ekipy był to wstrząs. Co gorsza — Władysław W. zapowiedział jeszcze, że wypłatę ureguluje w dniu następnym,

bezpośrednio przed wyjazdem robotników do domu. To już był cios poniżej pasa.

Dwie butelki rozlano bliźkawicznie do musztardówek i dopiero wówczas ekipa nabrała ochoty na picie. Dokonano więc „zrzutki” i na melinę powędrował Marek S. Przyniósł pewien zapas alkoholu. Z towarzystwa wyłamał się tylko Jerzy S., który — jak wiemy — od imprez alkoholowych stronił. Pozostali tkwili na swych posterunkach przy stole, aż w końcu właściciel brutalnie przerwał zabawę nakazując, by wszyscy udali się do swych tymczasowych miejsc zakwaterowania.

Polak w potrzebie jednak potrafił. Marek S. i któryś z jordanowian tak zaskarżenieli się obok synów gospodarza, że uzyskali pożyczkę a konto jutrzejszej wypłaty. Mając w kieszeniach sporo pieniędzy, wyruszone między wiejskie opiołki w poszukiwaniu wódki.

Z uwagi jednak na stan nietrzeźwości ciagle się ktoś gubił. Towarzystwo łazło się i rozchodziło. Weszło w spółkę z miejscowymi, którzy za możliwość wypicia dostarczali nowe butelki. Aż wszystko się popłatało.

Jordanowianin Marek M., słabo znający miejsce tymczasowego pobytu, w pewnej chwili stwierdził, że w ciemnościach nocy pobłądził i z konieczności wszedł do jednego domu, w którym świeciło się jeszcze światło. Jakież było jego zdziwienie, gdy zastał tam pewnego swego kolegę, biesiadującego w najlepsze z dziadkiem-gospodarzem. Marek trochę tam przetrzewiał i od dziadka uzyskał wskazówki, jak trafić na kwatery. Okazało się, że był jednym, który z tej nocnej balangi do miejsca zamieszkania powrócił. Jeden z jego kolegów doszedł do siebie o

prac w Władysława W. Brata tam jednak nie zastał i nikt nic nie wiedział o jego losie. Tymczasem w pobliżu miejsca domniemanej bójki w sąsiedztwie domu Janiny L. i innych zabudowań od jakiegoś czasu rozchodził się zapach jakby rozkładającego się ciała. Każdy z sąsiadów sądził, iż padł ofiarą kawału, w ramach którego ktoś złośliwy podrzucił w trudno dostępne miejsce zdechłego zwierzęcia. Aż Andrzej P. dokonano makabrycznego odkrycia: w pobliskim łanie zboża odnalazł rozkładające się zwłoki mężczyzny. Nie było wątpliwości: to ciało Marka S. Na miejsce zdarzenia, do identyfikacji zwłok, przybył brat Jerzy. Przybyły, zgnębiony wracał do Tarnowa. Wspólnie z nim na uroczystości pogrzebowe wyjechał Józef K. — mieszkanie wioski, w której zdarzyła się tragedia. Józef K. w przeszłości mienił się bliskim kolegą zmarłego. Wziął aktywny udział w uroczystościach pogrzebowych.

Rozpoczęto wstępne czynności wyjaśniające. Początkowo przyjęto wersję, że Marek S. padł ofiarą wypadku drogowego i sam, po odniesieniu ran, wczłogał się w łan zboża. Co jednak z butem, który znalazłono w rowie? Wynik sekcji zwłok ostatecznie wykluczył wersję wypadku. Przyczyną śmierci Marka S. był rozległy uraz czaszki. Rozpoczęto więc szeroko zakrojone, kilkudniowe działania, aż dotarło do Józefa K. — dawnego kolegi zmarłego.

Marek S. i Józef K. spotkali się krytycznej nocy na wiejskiej drodze. Obaj byli w stanie nietrzeźwym i obaj mieli ochotę jeszcze coś wypić. Zrodziły się między nimi jednak jakieś kontrowersje. Najpierw doszło do wymiany zdań, potem Józef K. uderzył. Tylko raz. Marek S., nie spodziewający się ciosu, upadł na betonowy chodnik. Ciałem wstrząsnęły konwulsje. Józef K. widząc, iż ustała u kolegi akcja serca, wciągnął ciało w pobliski łan zboża. Potem poszedł do domu. Upływały dni. Ciało Marka znalazłono, potem była ceremonia pogrzebowa. O czym wówczas myślał Józef K.?

## Tragiczna sprzeczka



Proszę o wydrukowanie wiersza poety ludowego z Kasiny Wielkiej, Józefa Nowaka. Przed pięćdziesięcioletni laty 10 żołnierzy polskich stoczyło tutaj nierówny bój z Niemcami, otoczeni zginęli prawie wszyscy. 3 września obędzie się apel ku czci poległych i pomordowanych.

Artysta rzeźbiarz  
Stanisław Dobrowolski

## Józef Nowak

### Wierchowińska sosna

Wierchowińska sosno,  
wieleś tyś godna była,  
tyś rotmistrza ulanów  
swoim cieniem okryła.  
I mówiłaś nocami  
do sąsiadki brzozy,  
że porucznik ulanów  
młode życie tu złożył.

Ziemio piękna kasińska,  
z dawna mogiłą zwana,  
za Ciebie bili się chłopcy,  
bądź zawsze sławiona.

Wierchowińska sosno,  
dobrze że tu wyrosłaś,  
bo tu rotmistrz umierał  
od wrogiej szwaba kuli  
i do Ciebie jak Matki,  
mógł się tylko przytulić.

Ziemio nasza kasińska,  
z dawna mogiłą zwana,  
jesteś jeszcze piękniejsza,  
boś krwią polską oblana.

## Wspomnienie

Kpt. Wiktor Lach był synem nauczyciela ze wsi Wilkowysko. Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego ukończył w Nowym Sączu. Po maturze odbył służbę wojskową w podchorążówce rezerwy w Jarosławiu, a następnie studiował w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku, został ranny na polu walki i zabrany do niewoli niemieckiej. Z obozu zwolniono go w 1942 roku i natychmiast po powrocie do domu przystąpił do pracy konspiracyjnej w Inspektoracie rejonowym AK w Nowym Sączu, „Niwa”; powierzono mu funkcję dowódcy placówki „Dwór”. Placówka obejmowała teren gmin zbiorowych (Dobra-Skrzydłina-Jodłownik) i liczyła 1198 żołnierzy podziemia. Przybrał pseudonim „Wilki” i w niedługim czasie stworzył oddział „Topór”.

16 lipca 1944 roku uderzył w ciągu dnia ze swoim oddziałem na oddział Wehrmachtu w Dobrej, pierwszy wpadł do kwatery nieprzyjaciela i utorował drogę swoim żołnierzom. Rozbroił 38 Niemców, zdobył dużą ilość broni i zlikwidował całą niemiecką placówkę strzegącą mostu. Uczestniczył, z reguły jako dowódca, w wielu innych śmiałych akcjach zbrojnych. Brał czynny udział w „Burzy”, wykonując liczne zasadzki na drogach, rozbijając kolumny niemieckie m.in. w Porąbce, Jodłowniku, Skrzydłnej i Dobrej.

W następstwie działalności partyzanckiej „Wilka” — na jego rodzinę spadły liczne represje nieprzyjaciela, a za ujęcie Wiktora Lacha, Niemcy wyznaczyli wysoką nagrodę pieniężną.

Po wyzwoleniu Lach pracował dla swojej rodzinnej wsi. Zorganizował Ochotniczą Straż Pożarną w Wilkowysku, założył cegielnię, powołał kółko rolnicze, które do końca życia wzorowo prowadził. Dom jego stał zawsze otworem dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, rady, wskazówki. Zmarł 13 października 1968 roku. Pochowany został na cmentarzu w Wilkowysku.

Za postawę w okresie okupacji kpt. Wiktor Lach był odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Mgr WŁADYSŁAW BARTOSZ

Najdalej wysuniętą na zachód miejscowością województwa nowosądeckiego jest Wysoka, leżąca nad doliną Orawy. Wieś ta miała duże znaczenie operacyjno-taktyczne w planach obronnych Armii „Kraków” w 1939 r. Przypomina dziś dni sprzed półwiecza pomnik poświęcony tym, którzy — broniąc w 1939 r. południowych rubieżach Rzeczypospolitej — padli na tej ziemi. Tu, na wzgórzach Wysockiej, znajdowały się bowiem pozycje obronne I Brygady Górskiej pułkownika Juliana Gaładyna, I Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza, podpułkownika Jana Wójcika oraz miejscowych batalionów Obrony Narodowej — majora Edwarda Rotha i kpt. Juliana Szczerbanowicza.

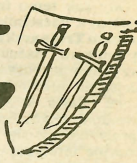
Już drugiego dnia wojny przybyli na pozycje obronne żołnierze 10 Brygady Pancerno-Motorowej płk. dypl. Stanisława Maczka, które stacjonując w Krakowie otrzymały rozkaz: *Natychmiast przejść marszem ubezpieczonym do rejonu: Jordanów-Rabka. Teren ten opanować i nie dopuścić, by nieprzyjaciel wyszedł z Beskidu na tyły armii „Kraków” w rejonie Myślenice-Dobczyce.*

O szóstej rano 1 września na szosie wiodącej przez Spytkowice ze Stowajcu ku Krakowowi pojawiła się wielka kolumna wojsk zmotywowanych. Ranek był mglisty, słońce jeszcze nie wyszło za chmur. Mieszkańcy Spytkowic pewni, że to polskie wojsko przychodzi odsadzać umocnienia pod Wysoką, biegli radośnie naprzeciw. Czołgi przywitały ich seria karabinów maszynowych. Popłoch zrobił się ogromny, przerażenie paraliżowało. Niemcy!!!

Więść poszła hen, aż pod Wysoką, gdzie nadzór nad budową okopów miał pluton 12 pułku piechoty podporucznika Tadeusza Stefaniszyna. Pluton uzbrojony był dodatkowo w dwa cekaemy i dwa działka przeciwpancerne, miał granaty, karabiny, bagnety, materiały wybuchowe. Porucznik zarządził alarm i zawiadomił tyły o marszu Niemców szosą ku skrzyżowaniu traktów Chabówka-Rabka-Limanova, Chabówka-Zakopane i Chabówka-Kraków. Na tyłach nie było specjalnych rezerw bojowych. Zebrano trochę nieumundurowanych ludzi (robotników mostowych z Chabówki i powołanych do wojska chłopów), którym rozdano broń, organizując szybko luźną obsadę nie wykonanych jeszcze linii obrony.

Rozpoczęła się nierówna walka. Niemcy szli szeroką ławą, atakując czołgami. Obroncy odparli te ataki wiązkami granatów, niszcząc z bliska kilka pojazdów. Walka toczyła się na całym południowym stoku wzgórza Wysockiej. Bardzo zacięta. Czołgi niemieckie spychano coraz niżej ku Spytkowicom. Niemcy nie mogli ruszyć dalej, zmęczeni, przestraszeni i zdumieni oporem tak słabych sił. Zbliżał się wieczór, a oni posunęli się jedynie 30

# BOHATERSKIE DNI: WYSOKIEJ



kilometrów. Ostrzeliwali polskie pozycje, nie mogąc zadawać poważniejszych strat ze względu na częstą zmianę stanowisk przez Polaków. Żołnierze polscy nocą urządzili wycieczkę na główne miejsce koncentracji wojsk wroga, przygotowujących się do porannego decydującego natarcia. Ten atak był dla wroga zaskoczeniem: powstał popłoch, walki toczyły się w ciemności w sadach i zabudowaniach Spytkowic, nie wiadomo było, kto wrog, a kto kolega. Dopiero o brzasku dnia polscy żołnierze wycofali się wiedząc, że nie podążają przeważającej sile wroga.

O drugim dniu walk o Wysoką niech nam przypomni autor książki pt. „Bitwy polskiego września” — Apoloniusz Zawilski:

2 września o piątej rano zagrzmięły na horyzoncie działa, na stokach Wysockiej i Góry Ludwiki wystrzeliły czarne fontanny ziemi i gęstego smolistego dymu... Po kilku minutach oba wzgórza stały w dymie. Po przygotowaniu artylerzystom wyruszyło niemieckie natarcie rozpoznawcze po gładkim stoku Wysockiej. Czołgi tutaj właśnie rozwinięto głównie siły brygady pułkownika Maczka. Do walki na Wysockiej obok żołnierzy stanęli również chłopcy kaprała rezerwy Zyrzytę, robotnicy pracujący przy budowie wiaduktu i junacy z hufca pracy w Jordanowie. Razem około 150 ludzi pod dowództwem porucznika inż. Różyckiego i porucznika Gadońskiego. W walce między Spytkowicami a Wysoką padło kilkunastu żołnierzy Obrony Narodowej, robotników i uczniów gimnazjalnych, ale niemieckie natarcie rozpoznawcze zostało odparte... Około południa nad Wysoką wysłała fala 150 czołgów niemieckich. Już teraz nie wystarczyło bohaterstwo rozrzuconych na przedpolu żołnierzy i ochotników, czołgi przejechały przez ich stanowiska i skierowały się ławą ku szczytowi góry. Lecząco wykutała wśród nich szare obłoki wybuchów, to dywizjon majora Żmudzińskiego kładzie zapórę... najbardziej wysforowane naprzód czołgi niemieckie zaczęły wykręcać dużym łukiem ku tyłowi i odchodzić w dolinę... Około godziny piętnastej artyleria niemiecka z nową siłą uderza na Wysoką, już teraz znacznie skuteczniej. Pod osłoną tego ognistego pancera wyszło natarcie 200 czołgów i piechoty niemieckiej. Obrona Polaka znów zniszczyła kilkanaście czołgów. Szczególnym męstwem odznaczył się kapral Wincenty Dzie-

chciarz, który sam jeden zniszczył ze swego działa siedem czołgów niemieckich, lecz w końcu zginął w ogniu nacierających z trzech stron maszyn nieprzyjaciela... Czołgi wychodzą na Wysoką — melodramatycznie szesnąc, dowódca 24 Pułku Ulanów — pułkownik Dworak — rzucam do kontrataku dywizjon Deszkara... Nie było wątpliwości, nieprzyjaciel szturmował tym razem Wysoką... Na lewo za Skawą stała Wysoka w gestym dymie i grzmiała strzelaniną wszelkiej broni. Upadek Wysockiej był konsekwencją miażdżącej przewagi technicznej wroga... lecz dla naszego planu obrony było ważne, że pomimo tej przewagi, oddziały potrafiły stawiać Niemcom zdecydowany opór, postrzymać tempo posuwania się korpusu pancernego i zadać mu poważne straty. Żołnierze od pierwszego strzału bili się z zadziwiającą wytrwałością, bez śladu kompleksu niższości czy paniki. Obsługi dział przeciwpancernych walczyły do śmierci, dopóki dział nie zostało rozbite, a obsługa przejechała przez czołgi. Owocem tej zacieklej walki było około 50 rozbitych i dymiących czołgów, które zacięliły zbroc Wysockiej szachownicą czarnych znieuchomiałych cielsk. Własne straty też były znaczne. Pośród wielu podoficerów i żołnierzy padł na swym posterunku major Żmudziński, ciężko ranny został kapitan Batorski, dowódca broniącej się na Wysockiej kompanii szkolnej I Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza.

Tu właśnie, pod Wysoką łamał się już w pierwszych godzinach wojny mit o błyskawicznym działaniu niemieckich zagonów pancernych. Ta obrona skutecznie opóźniła natarcie czołgów niemieckich. Pancerne jednostki Wehrmachtu uzyskały tempo zaledwie 6 km na dobę. Ow swoisty „falochron” pekt dopiero w piątym dniu wojny.

Już 3 września Niemcy w odwet za pomoc okazywaną przez mieszkańców Wysockiej polskim żołnierzom — spacyfikowali wieś, prawie doszczętnie, paląc zabudowania i wywożąc na przymusowe roboty do Rzeszy 52 mężczyzn. Przez cały okres wojny ci, którzy pozostali we wsi, żyli w bardzo trudnych warunkach, mieszkali w lepiankach i ziemiankach. Pamięć o bohaterstwie dniach wrześniowych trwa tu do dziś. 1 września 1946 r. Wysoka została odznaczona za swe bohaterstwo Krzyżem Grunwaldu III klasy.

JAN URYGA

## Śladami Ignacego Łukasiewicza

Miejska Biblioteka Publiczna w Gorlicach od wielu lat gromadzi wydawnictwa mówiące o Ignacym Łukasiewiczu. Przypomnijmy, iż wynalazca lampy naftowej i twórcą przemysłu naftowego prowadził w Gorlicach aptekę i zajmował się wydobyciem oleju skalnego czyli ropy naftowej. W katalogach biblioteki jest około setki różnych pozycji (książek, czasopism, broszur, artykułów itp.) dotyczących Łukasiewicza.

Gorlickie Muzeum Regionalne (założone przez Alfreda Władysława — wulkanizatora, który po amatorsku opracował monografię Łukasiewicza) od samego początku swego istnienia ma dział poświęcony osobie Łukasiewicza oraz przemysłowi naftowemu (jest tu m.in. miniatura aparatu do destylacji ropy naftowej, produkty destylacji, pierwsze egzemplarze czasopisma „Górniki” wydawanego przez Łukasiewicza w Gorlicach itp.).

Przy wejściu do gorlickiego ratusza znajduje się na ścianie metalowa tablica upamiętniająca pobyt Łukasiewicza w tym mieście, zaś w holu ratusza obraz z apteki Łukasiewicza przedstawiający postać kobiecą z aptekarską wagą w ręku. Przed apteką na Zawodziu (dzielnica Gorlic) postawiono po II wojnie pomnik — popiersie Ignacego Łukasiewicza. Naprzeciw tego pomnika, gdzie droga skręca do Siar i Sękowej, stoi stara kapliczka z Chrystusem Frasobliwym i dużą wiszącą lampą naftową. Jak głosi legenda — pierwszą lampę naftową zastosowano do oświetlenia ulicy.

Revolucja potrzebuje światła — pisał Ignacy Łukasiewicz w roku Wiosny Ludów i miał na myśli zarazem sens dosłowny, jak i symboliczny. Owego roku powrócił do Lwowa bohater spod Stoczka, gene-

rał Józef Dwernicki. Witały go porą wieczorną tłumy Polaków z pochodniami i świecami. Łukasiewicz wspomina, że gdy patrzył na słabe, ledwie rozświetlające ciemność błyski pochodni, rozważane przez wiatr — rozmyślał o potrzebie znalezienia nowych źródeł światła, jaśniejszych i trwalszych.

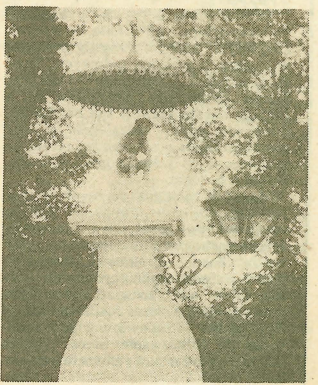
Biografowie Ignacego Łukasiewicza podkreślają, że udoskonalenie palnika naftowego przypada na okres jego pobytu w Gorlicach (po roku 1854), gdzie wziął w dzierżawę miejscową aptekę. Lampa zaadoptowana we Lwowie w 1853 roku za bardzo kopciała. Wynalazek Łukasiewicza polegał na tym, że płomień naftowy spalanej w lampie podsyca odpowiednią ilość powietrza płynącego od dołu, przez ażurowy palnik. Dzięki temu zamiana ciepła na światło odbywa się przy spalaniu bezwonnym. Dla unormowania ciągu powietrza i nadania płomieniowi silnego, równego blasku, Łukasiewicz zastosował kominiek z miki. Dla stopniowego i ekonomicznego spalania naftę wprowadził knot porowaty, po którym ciecz płynęła w górę w wąskich ilościach na zasadzie naczyn włoskowych.

W Gorlicach też pracował Łukasiewicz nad udoskonaleniem aparatury do destylacji ropy naftowej. Pierwszą rafinerią stała się izba przy gorlickiej aptece, a później piwnica w tymże domu. Za przykładem Łukasiewicza powstał w zagłębiu gorlickim szereg małych, prymitywnych rafinerii — w szopach z desek. Łukasiewicz służył radą, wskazówkami, a nieraz i pieniędzmi, by zachęcić do pogłębiania studzien dla wydobycia ropy. Do dziś zachowały się w okolicach Gorlic studzienki wydobywcze oraz szyby wiertnicze np. w Siarach, Ropie, Dominikowicach, Kobylan-

ce, a na Magdalenie (dziś dzielnica Gorlic) nawet tzw. kwiawce, czyli pompy do wydobycia ropy.

Z Gorlic przeniósł się Łukasiewicz do Jasła. Tu odwiedził go Tytus Trzcicki z Polanki pod Krosnem z propozycją, że dostarczy ropy w dużych ilościach, a Łukasiewicz będzie ją destylował. W Ulaszowicach pod Jasłem Łukasiewicz założył rafinerię pracującą na większą skalę niż dotychczasowe. Gdy spłonęła — uruchomił następną w Polance. Na obelisku postawionym przez niego dla utrwalenia pamięci założonej kopalni oleju skalnego w Bóbrce i data: 1854 r. W tymże roku sprzedał już do Wiednia 15 tys. kg nafty, a ponadto zaopatrywał cesarsko-królewską Kolej Północną w naftę świetlną i smary mineralne. Dziś w Bóbrce jest znane muzeum kopalnictwa naftowego.

NAFARIAN JANIGA



Fot. ANTONI ŁOPUCH



# GORALEN'VOLK

W historii narodu polskiego mieszkający rejonów podgórskich, a w szczególności zaś górale podhalańscy, kojarzeni byli zawsze z postawą niezłomną, patriotyczną, z głębokim umiłowaniem Ojczyzny i poświęceniem dla sprawy polskiej. Dowodów na to historia dostarczyła wiele. Tatarskie legendy o śpiących rycerzach czy szlachetnym Janosiku mieszały się z historycznymi zapiskami o zbrojnych aktach przeciw najazdom szwedzkiemu, o powstaniach chłopskich pod wodzą Kostki Napierńskiego (1651) czy chochołowskim (1846).

Ludzie, wychowani w twardych warunkach: ludzie, którym w zimie mróz dopiekał na równi z przednówką biedą; wgrzyżający się w jałową ziemię, lecz żyjący z nią, „na amen” i Kochający swe owieczki na hali... Surowe warunki geograficzno-klimatyczne, wykształcające specyficzne stosunki społeczno-gospodarcze, wyrobiły w mieszkańcach gór pewne cechy, wyróżniające ich wśród przedstawicieli innych rejonów Polski.

Góral tradycyjnie uznawany był za typ człowieka hardego, pozbawionego kompleksów, dowcipnego, lecz i robotnego, któremu nie obce są uzdolnienia artystyczne. Góral z natury jest trudny i oporny, lecz potrafi się podporządkować pewnym tradycyjnym autoritetom, wśród których niebagatelną rolę odgrywa wiada i religia. Tu właśnie leżą chyba niektóre przyczyny i załaski akcji, która w zamierzeniach okupanta miała rozłamać wewnętrzną jedność narodu. Rozłamać od strony, która podobnie jak na wojennym froncie, wydawała się być najmocniej bronią — od strony granitowego bastionu Tatr i Skalnego Podhala.

Pierwsze kroki zrobiono wcześniej, gdy duchowi ojcowie „Goralen'volku”, duet Wieder — Szatkowski, po zaszczępieniu idei zabezpieczenia interesów ludności góralskiej zaczęli przygotowywanie do reaktywowania Związku Górali.

Teraz należało góralom wyszukać wodza, choć może to określenie jak na 1939 rok brzmiało niezbyt szczęśliwie. A więc może księcia? Na przywódcę i przyszłego Księcia Górali upatrzyono przedwojennego prezesa Zarządu Powiatowego Stronictwa Ludowego w Nowym Targu, przedstawiciela silnego zakopiańskiego rodu Krzeptowiczów — Wacława, który wraz ze swymi bliskimi krewnymi — Andrzejem i Stefanem — został dla tej akcji pozyskany jako jeden z pierwszych. Rzecz charakterystyczna — kilku innych Krzeptowiczów od początku okupacji związało się z patriotycznym podziemiem, narażając swe życie m.in. na kurierskich szlakach. Jednak karłowate ambicje „Wacka” jak również skłonność do kiel-

szka i innych uciech tego świata spowodowały, że Wacław Krzeptowski w szybkim czasie z narzędzia w rękach Szatkowskiego stał się hitlerowską marionetką.

4 listopada 1939 roku rezydent gubernalny z Krakowa — Otto Wachter, wspólnie ze Staatsleiterem Pavlu i komisarzem Malsfeyem składającą wizytę upatrzonemu „Goralenführer” kandydatowi i zapraszając go na Wawel. Cel wizyty był jednoznaczny — powitalny hołd dla Generalnego Gubernatora Hansa Franka i złożenie próby w imieniu ludności góralskiej o zatwierdzenie „Goralenverein”.

Organizacja wyjazdu zorganizował się Wieder, który także przygotował hallowednicze wystąpienie „Wackowi”, który nie grzeszył wykształceniem i nie znał języka niemieckiego.

7 listopada na Wawel przybył Hans Frank. W wielkiej sali przyjęł zebrali się przedstawiciele armii niemieckiej, bonzo wie NSDAP oraz szereg innych osobistości. W czworoboku nie zabrakło pięciosobowej delegacji góralskiej w regionalnych strojach, gdzie obok dwóch urodziwych góralek znalazł się Wacek Krzeptowski, Stefan Krzeptowski i Józef Cukier.

Na wieści o tym samozwańczym wyczynie zawrzało na Podhalu, zwłaszcza, że zbiegła się z wieścią o uwięzieniu nowotarskich nauczycieli gimnazjalnych. Ale propagandowa machina hitlerowska nieubagatelną krepił się dalej. Zakopiańskich volksdeutschów i rodzimych renegeatów posilkują sam Generalny Gubernator, zjeżdżając do Zakopanego z podporządkowaną trasą z Krakowa do Zakopanego została drobiazgowo przygotowana, wzmocniono posterunki żandarmerii. Przy pozostałej po FIS-ie bramie przy ul. Kościuszki oczekiwali z gromadką polepionych Wacław Krzeptowski, a gapowicie i dzieciarnią przemieszana z funkcjonariuszami żandarmerii i agentami gestapo dopiehalni obrazu, który skrzętnie odnotował reporter z „Kraukauer Zeitung”.

Gubernator Generalny odwiedził Zakopane. Na przywitaniu przybyła między innymi delegacja górali. Jeden z nich zapewnił gubernatora, że górale są zadowoleni z obecnego stanu i opisali cierpienia, jakie musieli znieść dawniej. Gubernator podziękował im za oświadczenie lojalności i zapewnił, że rząd Rzeczy Niemieckiej zawsze dbał o dobro swoich mniejszości. Mówił on, że skończył się

prześladowania górali. Delegacja wręczyła gubernatorowi odznakę honorową (góralską spinakę ze srebra — J.S.). Została ona wykonana ręcznie i przedstawiała wielką wartość artystyczną.

Z ogromną satysfakcją „Wacek” i jego zausznicy wzięli udział w bankiecie wydanym przez gubernatora Franka.

W tym samym czasie Henryk Szatkowski przygotowywał specjalny akt, stanowiący jakoby deklarację polityczną zmierzającą do wyodrębnienia narodu góralskiego poprzez opracowanie memoriału do przedłożenia Generalnemu Gubernatorowi. Pod memoriałem miały podpisać się osoby reprezentatywne, toteż pozycja, wpływ i znajomość Wacława Krzeptowskiego odegrały tu niepoślednią rolę. Drogą silnej agitacji na rzecz „Goralen'volku”, w oparciu o błyskotliwe sukcesy militarne i potęgę hitlerowskiej armii, w przekonaniu o realiach Księstwa Góralskiego zjednywał sobie „Wacek” popleczników. Argumenty były jednoznaczne: dla niezdeterminowanych przy wodce i kiebasach pałaty obietnice nagród i korzyści, dla opornych — wysyłka na roboty i Konzentrationslager. Najczęściej odwieczano koła „ludowców”, na co dawny prezes nie żałował pieniędzy. Na święta Bożego Narodzenia wraz z propozycjami wstąpienia do „Goralen'volku” byli działacze SL otrzymali paczki z mąką, cukrem i tłuszczem.

Krzeptowski utwierdzał wszystkich w przekonaniu o swoich wpływach i możliwościach; przy okazji osobistych porachunków nie mało osób trafiło do krematoryjnych pieców, choć także, w poszukiwaniu zwolenników separatystycznych idei, za sprawą jego intencji zwolniono z obozu blisko dwieście osób. Niemalże udało się wyrwać z rąk gestapo. Działalność Wacława Krzeptowskiego bardzo szybko spotkała się z ogólnym potępieniem; okrzyknięto go zdradcą nr 1, a Polska Podziemia wydała nań wyrok. Jednakże „Książę Górali” dobrze się pilnował, ponadto sprzyjał mu szczęście. Sprawiedliwości doznał dopiero 20 stycznia 1945 roku na akowskim strzycku w Kościelisku.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Lato tego roku mamy naprawdę gorące. Dostawnie i w przemożni. Utrzymująca się od początku sierpnia słoneczna pogoda sprzyjała rolnikom. Na polach całego województwa uwijano się przez okragły miesiąc. Dojrzałe zboże koszone dniem i nocą. Do późnej nocy dzień w dzień ciągniki i wozy zwiozły z pól to co zostało skoszone i zgrabione. W ponad 35-stopniowym upale ludziom brakowało powietrza do oddychania. Wymęczeni nadludzkim wysiłkiem żniwiarze często spoglądali w rozjarzone niemiłosiernie słońce z obawą: — Jak długo utrzyma się pogoda? Zdzążymy zebrać plony? — Każda pojawiająca się na horyzoncie chmurka przynosiła kojącą ochłodę, ale i niepokój: a nuż ulewa przerwie pracę w polu, przeszkodzi w zbiorach...

W chwili, gdy będziecie Państwo czytać te słowa — w większości wsi naszego województwa żniwa zapewne już się zakończyły. Na Skalmym Podhalu, u podnóża Tatr będą dopiero na półmetku.

★

Trudno oświadczyć z nowymi cenami. Ceny to jednak jeden problem — drugi zaś, nie mniej doskwierający, to brak towaru w sklepach, szczególnie zaś mięsa i przetworów z niego. Branża mięsna stała się obecnie najbardziej nierzalniczą częścią rynku. Niczym w soczewce ogniskują się w niej wszelkie problemy życia polskiej rodziny. Wielu ludzmi zdawało się, że urynkowanie gospodarki żywnościowej od razu rozwiąże wszystkie problemy, otworzy workę obfitości. Tymczasem niewiele się zmieniło. Niewiele też pomogła podwyżka (trzeba przyznać, że znaczna) cen urzędowych — przepasasam, teraz chodzi o ceny gwarantowane — żywa. Punkty skupu nadal świecą pustkami. Oto np. w jednej z wsi Spisza, gdzie jednorazowo skupowały się 30 — 40 sztuk bydła i trzody, podczas ostatniego spędu zakupiono... 4 sztuki. Gdzie leży przyczyna? Pytałem o to rolników. Jeden z nich oświadczył, że ma w oborze 4 tuczniki, lecz ich nie odstawi do punktu skupu. — *Mało płacą?* — zapytałem. — *Może!* — Lecz nie cena stanowi główny czynnik w tej grze o mięso. Chłopi mówią otwarcie: — *A co ja kupuję za te pieniądze? Łódź, wikt, pralki czy telewizora nie uświadczą w żadnym sklepie. Potrzebny mi także cement, eternit, stal zbrojeniowa. Gdzie one są?*

To co nasi ekonomiści pięknie nazwali zróżnicowaniem cen — może spowodować galimatias w najgłębszej głowie. Przykład z chlebem. Jeszcze niedawno (czyli w czasie pu rynekowieniu) bochenek chleba kilogramowego kosztował 120 złotych, w następnym tygodniu ten sam gatunek już 230 złotych, by za kilka dni „podskoczyć” do 330 złotych. Znajomy kierownik piekarni, którego zapytałem, co się dzieje z tymi cenami odpowiedział, że jest to uzależnienie od ceny mąki, którą piekarnie otrzymują z młynów. A bywa, że mąki podobnego gatunku mają różne ceny. Różnice sięgają 50 tysięcy złotych na tonie. Stał wniosek: za ten sam gatunek pieczywa dziś można zapłacić mniej, zaś jutro drożej lub odwrotnie. Istna kolomyja.

Podobnie rzecz ma się z nabiałem, a więc wszelkiego rodzaju serami, śmietaną czy masłem. Zakłady Mleczarskie stosują własną politykę cenową, w której nawet „starzy” zaopatrzeniowcy nie mogą się polapać, nie mówiąc już o zwykłych klientach.

W kolejkach po cukier trwa bezparadonowa walka o każdy kilogram, o każdą torebkę. Może to i prawda, że wiele osób kupuje nie dlatego, że im tego cukru pilnie potrzeba, ale na wszelki wypadek. Cóż, tego obyczaju zdążyliśmy się nauczyć w ciągu ostatnich lat.

Pelnomocnik rządu ds. urynkowania gospodarki żywnościowej — Andrzej Głowacki w wywiadzie dla telewizji powiedział: *Nie ma podstaw, by goniła cenowa trwała nadal. Dalsze wyższe ceny są nieuzasadnione. Będziemy dochodzić ich przyczyn.*

Myślę, że możemy się pod tym wszystkim podpisać obydwoma rękami, co czynię niniejszym.

ANDRZEJ NIEMIEC

## Krynicki Dom Zdrojowy

Napis na fasadzie Starego Domu Zdrojowego w Krynicy informuje, że gmach ten wybudowano 100 lat temu. Został oddany do użytku w roku 1889 — tym samym, w którym urodzisko otrzymało prawa miejskie.

Gdy w roku 1856 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego — Józef Dietl opracował kompleksowy program rozbudowy uzdrowiska w Krynicy, zapewne liczył na to, że wkrótce Krynica stanie się chętnie odwiedzianym przez czasowiczów i kuracjuszy miastem. Dotychczas była to mała wioska, zagubiona wśród gór Beskidu Sądeckiego, trudno dostępną dla przybyszów z odległych miejscowości. Dopiero otwarcie kolei tarnowsko-leuchowskiej w 1876 roku i doprowadzenie drogi z Muszyny do Krynicy w dwa lata później przybliżyło to urodzisko światu.

Wtedy też zaczęli przyjeżdżać do Krynicy kuracjusze z całej Galicji. Aby stworzyć im odpowiednie warunki wypoczynku i leczenia, wybudowano jeszcze w 1866 roku łazienki mineralne, w 1880 roku otwarto nowe łazienki borowinowe, a w 1884 zakład wodoleczniczy. Na to, by Krynica stała się w całej pełni kurortem, należało jeszcze zbudować tak zwany kurhaus, czyli właśnie dom zdrojowy.

Z propozycją budowy takiego domu wystąpił jesienią 1881 roku namiestnik Galicji — Alfred Potocki, który pełnił też funkcję prezesa Dyrekcji Domen i Lasów Państwowych, będącej administratorką krynickiego zakładu zdrojowego. W dwa lata później Dyrekcja wystąpiła do Ministerstwa Rolnictwa w Wiedniu z wnioskiem o rozpisanie konkursu na projekt „dworca leczniczo-zdrojowego”. W lutym 1884 roku ogłoszono międzynarodowy konkurs, a termin nadsyłania prac wyznaczono na 1 czerwca tego samego roku. Mimo tak niezwykle krótkiego terminu, wpłynęły aż dwadzieścia cztery

prace. Świadczyło to o dużym zainteresowaniu tematem konkursu.

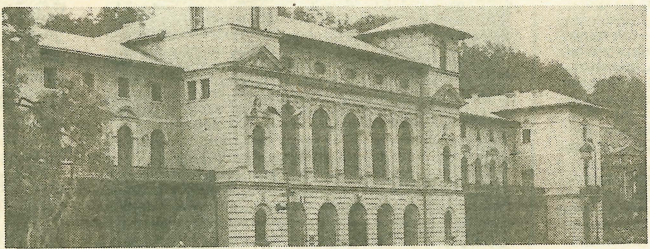
Pierwszą nagrodę uzyskał projekt oznaczony godłem „Tatry”. Jego autorami byli Julian Niedzielski i Jan Zawiejski z Wiednia. Projekt został przyjęty do realizacji. W następnym roku architektki sporządzili szczegółowe plany i kosztorysy, ustalili dokładną lokalizację budynku. 13 sierpnia 1885 roku przekazali całą dokumentację wiedeńskiemu Ministerstwu Rolnictwa, które pozytywnie ją oceniło, zatwierdziło i odesłało do Dyrekcji Domen i Lasów Państwowych we Lwowie. Budową domu zdrojowego interesował się nowy namiestnik Galicji — Filip Zaleski, który nawet odwiedził Krynicę.

Jesienią 1885 roku rozpoczęto prace przygotowawcze, a wiosną następnego roku ruszyła budowa. Nadzorował ją Jan Zawiejski; jego starszy kolega — Julian Niedzielski zaangażował się w inne przedsięwzięcie na terenie Wiednia. 4 czerwca 1886 roku odbyło się uroczyste poświęcenie rozpoczętej budowy. Zatrudniła około stu robotników, prace posuwały się żwawo. Planowano ukończenie gmachu

w lecie 1887 roku, ale termin nie został dotrzymany na skutek trudności finansowych i organizacyjnych. Ostatecznie budowę zakończono w czerwcu 1889 roku, a więc w trzy lata od rozpoczęcia. Ekipa budowlana Jana Zawiejskiego nie traciła czasu na bezczynne oczekiwania rozwiązywania występujących trudności. Gdy prace na budowie domu zdrojowego zostały wstrzymane, Zawiejski zdołał wybudować kilka willi i pensjonatów dla miejscowych lekarzy (Skórczewskiego, Eberasa).

Przyczynił się również do wzniesienia kościoła parafialnego. Jeszcze w 1886 roku skrytykował pomysł rozbudowy kaplicy w parku zdrojowym i zaproponował bezinteresowne opracowanie projektu i kosztorysu nowego kościoła. Propozycję chętnie przyjęto i powierzono Zawiejskiemu funkcję architekta oraz kierownika budowy. W lecie 1887 roku budowlę doprowadzono do stanu surowego, lecz kłopoty finansowe zahamowały jej ukończenie, aż do początku lat dziewięćdziesiątych. Jan Zawiejski nie ukończył osobiście tego przedsięwzięcia, bowiem od roku 1890 w ciągu trzech następnych lat wybudował okazały gmach Teatru Miejskiego (obecnie noszącego imię Juliusza Słowackiego) w Krakowie.

BOGUSŁAW ZOREK



Fot. MICHAŁ SROKA



# Dwudzieścia lat Zakopiańskiego Festiwalu

Przysła jesień z Bawinami,  
zazłociła niebo słonkiem.  
Tańcom wierzchy góralskiego,  
na przodku ze starym Giewontem!

Franciszek Bachleda-Księdzior

A wszystko zaczęło się w roku 1962, kiedy grupa zapaleńców z Krystyną Słobodzińską na czele wymyśliła „Jesień Tatrzańską”, celem przedłużenia sezonu turystycznego. Początkowo w program imprezy włączano wszystko: sport, turystykę, plastykę, folklor — jak leci. Przypadkowe występy zespołów folklorystycznych przekształcając się w pokaz zwany Festiwalem Zespołów Regionalnych Ziemi Górskich, a od 1967 Festiwalem Folkloru Ziemi Górskich. Wysuwa się on powoli na czoło pozostałych imprez i powstaje potrzeba przekształcenia go w festiwal międzynarodowy. I tak w 1968 r. odbywa się pierwszy Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziemi Górskich.

Jak to się stało, że niemal od zarania odgrywa on ważną rolę w międzynarodowym ruchu folklorystycznym? Otóż od początku objawił on swoją odrębność prezentując wyłącznie folklor górski różnych regionów, i od początku miał charakter konkursu (wprowadzając kategorie umożliwiające przyjęcie różnorodnych zespołów).

Cele i zadania festiwalu określili i określa regulamin: *Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziemi Górskich w Zakopanem jest prezentacją dorobku amatorskich zespołów folklorystycznych w dziedzinie muzyki, pieśni, tańca, obrzędów i zwyczajów, uwzględniającą całe bogactwo tradycyjnej kultury ludowej różnych regionów górskich (...). Udział w Festiwalu mogą brać zespoły posiadające swą stałą siedzibę w regionie górskim i*

kultywujące tradycje folklorystyczne swojego własnego regionu etnograficznego.

Zmieniały się kryteria ocen zespołów, zmieniały się też kategorie, aż wreszcie ich ostateczny kształt zaistniał w 1973 r. Zawdzięcza festiwal zachowanie swych podstawowych idei głównie Jury pod przewodnictwem prof. dr Romana Reinfussa, który uparcie walczył z różnymi próbami „modernizowania festiwalu” potrafił utrzymać jego największe wartości, a przede wszystkim — autentyczny folklor górski.

Tak więc zespoły oceniane są w czterech kategoriach:

— zespołów autentycznych — prezentujących folklor swej wsi i najbliższej okolicy w formie autentycznej tj. związanej z miejscową tradycją, co pozwoliło otworzyć drogę do najwyższych nagród autentycznym zespołom wiejskim

— zespołów autentycznych artystycznie opracowanych, gdzie dopuszczalne jest opracowanie przez specjalistów, jednak w formie zbliżonej do autentycznej

— zespołów stylizowanych, których program zaczerpnięty jest z regionu górskiego, gdzie znajduje się siedziba zespołu — lecz przepracowany w sposób swobodny przez specjalistów

— zespołów prezentujących folklor odtworzony (rekonstruowany). Kategoria ta obejmuje zespoły z krajów, które nie posiadają już żywego folkloru, a program opracowany jest w oparciu o etnograficzne źródła historyczne.

Wprowadzane zmiany miały na celu nie dokucanie zespołom, a wręcz odwrotnie stworzenie zespołom o różnym charakterze, pochodzącym z różnych regionów i krajów równych szans, uwypuklających całe bogactwo tradycji kulturowych i narodowych.

Zmiany w regulaminie pociągały za sobą konieczność udoskonalenia nagród festiwalowych i zwiększenia ich ilości. Początkowo istniała tylko *Złota Ciupaga*. I iluz tragedii byliśmy świadkami. Jeśli dwa zespoły o takim samym poziomie różnił jeden punkt, a tylko jeden mógł dostać *Złotą Ciupagę* — to łatwo wyobrazić sobie, co działo się po ogłoszeniu werdyktu Jury. Wprowadzono zatem *Srebrne Ciupagi*, a jako trzecią nagrodę Puchary Jesieni Tatrzańskie, które w końcu przekształcono w *Brązowe Ciupagi*. Ponadto zespoły, które nie uzyskały nagród regulaminowych otrzymują za dobre lub bardzo dobre wykonanie części programu *Liście Jesieni Tatrzańskiej*. Wiele instytucji i organizacji, a nawet wiele osób prywatnych funduje również własne nagrody dla wybranych przez siebie zespołów. Swoją nagrodę przyznaje również publiczność oraz dziennikarze akredytowani przy Festiwalu.

Imprezą ściśle związaną z festiwalem, która również zmieniała się przez lata, co znajdowało odbicie w regulaminie, jest *Przeegląd Zespołów Instrumentalnych, Solistów Instrumentalistów i Wokalistów*. Początkowo był to amatorski przeegląd kapel góralskich, który dopiero od 1975 r. przybrał obecny kształt — ciesząc się niesłabnącym zainteresowaniem publiczności i zwolenników muzyki góralskiej różnych narodów.

Wielokrotnie organizatorzy zapytywani są, w jaki sposób zespoły polskie i zagraniczne trafiają na zakopiański festiwal. Sprawa jest dość skomplikowana i wymaga wreszcie wyjaśnienia. Organizowany początkowo w Zakopanem Festiwal Górali Polskich, w momencie powołania Międzynarodowego Festiwalu trzeba było przenieść do innego miasta. Impreza chętnie została przejęta przez Żywiec, który w ramach Dni Żywca organizował przeegląd polskich zespołów góralskich, stanowiący naturalną skarbnicę doboru zespołów na zakopiański festiwal. Niestety zmiana terminu Festiwalu na lipiec lub sierpień automatycznie uniemożliwiła dobór zespołów z Żywca. Powstał wówczas projekt, realizowany od trzech lat, „Spotkań pod Jaworzyną” w Krynicy, będących eliminacją zespołów polskich na zakopiański festiwal. Sprawa zatem doczekała się właściwego uregulowania. Gorzej jest natomiast z zespołami zagranicznymi. Istnieją jakby trzy sposoby zapraszania zespołów. A więc bezpośrednio, jeśli organizatorzy mają adres zespołu, sposób sprawdzony i najlepszy, przez przedstawicieli CIOFF (Rada Między-



Zdjęcia — MICHAŁ SROKA



## 25 lat STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ TWÓRCZOŚCI JANA KASPROWICZA

Ćwierć wieku działalności Stowarzyszenia to ogrom pracy włożony w utrzymanie i kultywowanie tradycji Kasprowicowskiej. Z inicjatywą stworzenia tej społecznej instytucji wystąpiła u schyłku swego życia wdowa po poecie — Maria Kasprowicowa. Lista członków założycieli z 1964 roku była okazała. Mieścili wybitne nazwiska ludzi związanych ze sztuką, nauką, literaturą. Wybierając tylko kilka widzimy jaką rangę otrzymało Stowarzyszenie już w momencie powstawania — Jan Brzechwa, Jan Dobraczyński, Andrzej Skupień-Florek, Stefan Flukowski, Antoni Gołubiew, Konrad Górski, Henryk Jabłoński, Tadeusz Kotarbiński, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka.

Stowarzyszenie postawiło sobie za cel popularyzację ideowych i artystycznych wartości dzieł Kasprowicza oraz umożliwienie zainteresowanym dotarcia do źródeł i prac związanych z twórczością i życiem poety. Zakłada propagowanie poprzez swą działalność kultury języka polskiego i wartości intelektualnych, jakie niesie bogaty okres literacki — Młoda Polska. Wreszcie bardzo ważnym działem Stowarzyszenia była i jest stała opieka nad domem poety, czyli Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie w Zakopanem, gdzie od

początku mieści się siedziba Zarządu Głównego. Troška o grobowiec-mauzoleum, gdzie spoczywają poeta i jego żona — to także obowiązek Stowarzyszenia.

Oddziały, które powstały dzięki ludziom z inicjatywą i pasją społecznikowską, działają z zaangażowaniem — od dziesięciu lat w Zielonej Górze i od pięciu lat w Łodzi. Jak łatwo zauważyć, główny i inspirujący „nurt Kasprowicowski” wychodzi z Harendy, która gości rocznie około 25 tysięcy zwiedzających. Połowę stanowi młodzież, która w klasach trzecich szkół średnich spotyka się z twórczością Kasprowicza, zgodnie z programem szkolnym. Lekcje polskiego, prelekcje przybliżają młodym postaci tego poety i naukowca.

Pod egidą Stowarzyszenia urządzane są „Wieczory na Harendzie”, czyli spotkania z ciekawymi ludźmi — twórcami, naukowcami, działaczami kultury. Piękną akcją zainicjowało Stowarzyszenie organizując *Złoty Kasprowicowski*, które odbywają się w szkołach imienia poety, a jest ich w kraju ponad dwadzieścia. Pierwszy Złot, ten inauguracyjny, odbył się na Harendzie, następnie w Raciborzu, Inowrocławiu, Ostrowie Wielkopolskim, Poznaniu, Nietążkowie koło Smigła, w Łodzi, a w przygotowaniu jest złot w Kutnie. Spotkania

młodych spod znaku Kasprowicza to parodiowne obchody, w których uczestniczą nie tylko uczniowie-gospodarze, wychowawcy, delegaci poszczególnych szkół, goście, ale często — jak na przykład w Ostrowie — całe miasto, władze administracyjne i polityczne oraz mieszkańcy.

W skład Zarządu Głównego Stowarzyszenia wchodzi ludzie od lat oddani spuściznie Kasprowicowskiej, przede wszystkim tej intelektualnej i materialnej. Ludzie, z których większość znała Marię Kasprowicową, którzy od niej nauczyli się umiowania i szacunku dla wszystkiego co Kasprowicowskie, których Maria uczyniła moralnymi spadkobiercami poety. Pod stałą opieką towarzystwa pozostaje także bogata spuścizna po córkach Jana Kasprowicza — Janinie i Annie oraz zięciu Władysławie Jarockim, malarzu i architekcie. Galeria obrazów Jarockiego udostępniana jest w sezonie letnim na Harendzie. W tym roku wypożyczono ją Muzeum Okręgowemu w Sandomierzu.

Stowarzyszenie istnieje, działa, propaguje swoje idee przy wydatnej pomocy państwa oraz przy stałej opiece władz miasta Zakopanego i władz wojewódzkich w Nowym Sączu.

A „szeregowy” członek Stowarzyszenia? Jest ich ponad dwustu na terenie Polski. To wspaniali ludzie, których urzekła poezja Kasprowicza, góry, dom nad Zakopiańską i Harenda-osiedle, urzekli górale z domu osiedla pod Tatrami.

ANNA KOGUTKOWA



narodowa Organizatorów Festiwalu Folklorystycznych) w poszczególnych krajach. Tu niestety nie zawsze zorientowani (mimo corocznego otrzymywania regulaminu) reprezentanci CIOFF narażają nas na przykre niespodzianki; oraz trzecia droga przez Ministerstwo Kultury i Sztuki (tam, gdzie wymagają tego umowy międzynarodowe). Niestety dość rzadko tą drogą udało się zdobyć zespoły, z wyjątkiem zespołów z ZSRR. Tak więc organizatorzy mają niewielki wpływ na dobór właściwych zespołów, na ich poziom i na to, czy w ogóle winny pojawić się w Zakopanem.

Przez 20 lat mieliśmy przyjemność gościć zespoły z 26 krajów: z Austrii (5 zespołów), Bułgarii (20), Chin (1), Czechosłowacji (20), Francji (20), Grecji (8), Hiszpanii (12), Iraku (1), Jugosławii (16), Meksyku (2), Mongolii (1), Niemieckiej Republiki Demokratycznej (12), Norwegii (8), Rumunii (15), Republiki Federalnej Niemiec (4), Szwajcarii (4), Senegalu (1), Szwecji (8), Turcji (12), Stanów Zjednoczonych Ameryki (1), Węgier (15), Wielkiej Brytanii (6), Włoch (16), Związku Radzieckiego (20).

Łącznie przez estradę festiwalu przewinęły się 222 zespoły zagraniczne, w tym kilka parokrotnie, każdorazowo jednak z innym programem. Polskę reprezentowało każdorazowo w festiwalu 4-8 zespołów pochodzących z różnych regionów górskich.

Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziemi Górskich — ma ogromny wpływ na sposób widzenia folkloru górskiego w Europie i stanowi wzór organizacyjny dla wielu innych festiwali, których szefowie przyuczają się u nas, przenosząc gotowe formy na własny teren. Organizacja jest niezwykle prosta, polegająca na nie „urzędniczym” podchodzeniu do pracy, o co walczyły kolejno jego szefowie, a więc **Krystyna Słobodzińska** (1968-1975), a od 1976 niżej podpisana. Cały rok pracuje jeden w pełni odpowiedzialny „decydent” trzymający w rękę wszystkie sznurki tej bogatej i różnorodnej imprezy oraz jeden pracownik. Na okres festiwalu angażuje się na ogół stałych, wypróbowanych współpracowników tj. kierowników poszczególnych działów, tłumaczy, opiekunów zespołów i in. pracowników. Zapewnia to przede wszystkim jednorodność, ciągłość, konsekwencję, wykorzystywanie wszelkich doświadczeń, uwag i inicjatyw pozostałych współpracowników, jury i współorganizatorów. Przez 20 lat festiwalu dodatkowo powoływały różne ciała społeczne, które lepiej lub gorzej pomagały w organizacji. Od dwóch lat nastąpiła pełna reorganizacja administracyjna i obecnie do pomocy Dyrektorowi została powołana Społeczna Rada Programowo-Organizacyjna Jesieni Tatrzańskiej, na czele z naczelnikiem miasta Zakopanego. W skład jej wchodzi też komisje (organizacyjne i programowa) składające się ze specjalistów w zakresie spraw merytorycznych oraz współorganizujących przedstawicieli różnych środowisk, instytucji, nie tylko kultury.

Znaczenie festiwalu sięga daleko poza gminę tatrzańską i poza granice naszego kraju. Jego specyfika, absolutna odrębność od innych festiwali europejskich oraz wpływ, jaki wywiera jako źródło narzucania własnej ideologii międzynarodowemu ruchowi folklorystycznemu — to jego największa siła i chluba. Konsekwencja w utrzymaniu wyznaczonego kierunku przyczyniła się do podniesienia rangi zespołów wiejskich w krajach, które tego poprzednio u siebie nie doceniały. Coraz częściej prezentowane programy związane są z obrzędem czy zwyczajem w formie jak najbardziej autentycznej, a nie stanowią sztucznie montowanych składanek muzyczno-tanecznych. Również na terenie Podtatrza i całego Podhala spowodował festiwal powstanie nowych zespołów, również dziecięcych i młodzieżowych. Zainicjował wyszukiwanie przez zespoły zapomnianych obrzędów i starych zwyczajów wyodrębniających kulturę górską od innych regionów.

Niebagatelną rolę odgrywa festiwal w nawiązywaniu kontaktów między zespołami różnych krajów poprzez organizowanie takich imprez jak wieczorki przyjaźni, zlot zespołów na Siwej Polanie, wieczór poezjalny w namiocie, wspólne występy w Zakopanem i na mini festiwalach. Owoce to wymiana zespołów, udziałem polskich zespołów w zagranicznych festiwalach, przyczynia się do popularyzacji dorobku kultury ludowej Podhala poza granicami kraju. Zespoły zagraniczne w czasie pobytu w Zakopanem mają możliwość brać udział w różnych imprezach, wystawach, spotkaniach ze sztuką ludową oraz poznawać różnorakie aspekty życia w Polsce. Pozwala to na przenikanie do różnych krajów i środowisk prawdy o Polsce.

Posiada festiwal swoich stałych uczestników, zako-

**Kazimierz Koczyński** — pejzażysta zamieszkały w Bielsku-Białej — jest sądeckaninem. Często wystawia w Sączu, każdego lata odwiedza rodzinne miasto i górskie zakątki, w których niegdyś szukał tematów do swoich pierwszych obrazów. Wychowanek Gimnazjum imienia Jana Długosza, żołnierz kompani wrześniejszej i wiezień oflagu w Murnau, właśnie w obozie — pod kierunkiem Maksymiliana Feuerringa (profesora osiadłego dziś w Australii) studiował malarstwo. Jak Edmund Cieciekiewicz zauroczony górami, próbował pójść dalej: poprzez barwy i kształty opowiada o człowieku, jego nastrojach, tęsknotach i uczuciach. Wiecznie ruchliwe wody Dunajca i Popradu, zmienne niebo i kolory pór roku przypominają o nietrwałości wszystkiego co nas otacza. Takie są też najnowsze obrazy, które można oglądać w Muzeum Okręgowym w Sączu do 20 września.

Artysta i pedagog, zdobywca wielu nagród (w tym „Sztalug Fałata” i nagrody ministra kultury i sztuki), wielokrotnie wystawiał w kraju i za granicą — m.in. w Warszawie, Krakowie, Katowicach oraz we Francji, Jugosławii i Czechosłowacji — jednak w rodzinnym Nowym Sączu obchodził w 1977 roku trzydziestelecie twórczości, a przed rokiem — czterdziestopięcioletnie połączone z osiemdziesiątą rocznicą urodzin malarza. Dodajmy, że Kazimierz Koczyński jest honorowym członkiem sądeckiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.



Fot. PAWEŁ JAROSZEWSKI

chanych w jego atmosferze gości, przyjaciół i obserwatorów z Polski i zagranicy, dziennikarzy różnych narodowości, i ma przede wszystkim wspaniałą publiczność, gorąco oklaskującą wszystkie bez wyjątku zespoły i nie zważając na przeciekający niekiedy namiot.

Przez 20 festiwalowych lat Polskie Radio wnieśli towarzyszyło imprezie, nagrywając wszystkie zespoły i uzyskując w ten sposób niepowtarzalny, bogaty materiał do różnego typu audycji folklorystycznych. Również telewizja japońska od początku rejestruje imprezy festiwalowe i Jesieni Tatrzańskiej. Mieliśmy przyjemność gościć również telewizje innych krajów. Tylko polska telewizja udaje, że nas nie ma, zadręczając nas pokazywaniem podrzędnych, nieciekawych i nie specjalnie wartościowych imprez folklorystycznych. A niech im będzie na zdrowie.

Niejednokrotnie obserwatorzy zadają pytanie, na czym polega ta specyficzna, niepowtarzalna atmosfera festiwalu? Dlaczego to święto kultury górskiej posiada tak odrębny i radosny charakter? Myślę, że poza pełnym zaangażowaniem stosunkiem do Jesieni i Festiwalu wszystkich mieszkańców miasta, ogromną rolę odgrywa bogata oferta kulturalna. A więc w dziedzinie literatury ogłoszenie wyników na rozpisywany na wiosnę konkurs na wiersz o tematyce górskiej imienia Tadeusza Staicha; w dziedzinie plastyki wspaniałe wystawy artystyczne na bardzo wysokim poziomie w BWA, PSP, Klubie „Turnia”, Muzeum Tatrzańskim, Klubie MPiK. Ponadto tzw. dni otwartych pracowni, czyli zwiedzanie pracowni artystów plastyków i twórców ludowych, i wreszcie konkurs dla dzieci i młodzieży na plakat festiwalu. W dziedzinie folkloru przejazd „wesela góralskiego” ulicami miasta, wielkie widowisko regionalne pod skocznią, występy zespołów festiwalowych na ulicach miasta, góralskie muzykowanie przy wotrze na Polanie Kuznickiej, kiermasz sztuki ludowej na Krupówkach, regionalne konkursy: na dorozkarczka roku, na oścypek i *redykołkę*, na śpiew *pytacki*. W dziedzinie turystyki „Dni przewodnickie” — zwiedzanie Tatr z przewodnikami, nie wspominając koncertów festiwalowych i finałowych. Poza Zakopanem — mini festiwale i Jarmark Podhalański w Nowym Targu oraz występy zespołów u chorych dzieci w sanatorium na Bystrem. Nie sposób zresztą wymienić wszystkich imprez, gdyż zajęłoby to wiele stron.

## Malarz Sądeckizny



Fot. JULIUSZ JARONCZYK

JAN POPRAWA  
**GWIĄZDOZBIÓR**

## Brzozowski

Tegoroczne Święto Lipcowe spędzłem w Olsztynie. Odbywał się tam — jak co roku — festiwal „Śpiewajmy poezję”. Miła imprezka, której nie będziemy wszakże poświęcać wiele czasu. Bardziej interesować nas będzie postać jednego z jej bohaterów. Stefana Brzozowskiego.

Brzozowski jest dobrze znany w środowisku estradowym. Jest ceniony, lubiany. Jeśli mu do szczęścia czełogłowiek brakuje — to tylko należytym umiejętnościom i talentowi sławy.

Start do zawodowej kariery artystycznej miał Stefan w środowisku studenckim. W latach siedemdziesiątych powstała mianowicie w Olsztynie grupa „Niebo”. Był to zespół dość amatorski, uprawiający rodzaj muzycznej stylizacji, z wykorzystaniem instrumentarium smyczkowego, jakby w ślad za popularną wczesniej krakowską „Anawą”. Poziom „Nieba” był na tyle wysoki, że kilkakrotnie przyniósł zespołowi nagrody w Studenckich Festiwalach Piosenki. Wszelako zwykle były to nagrody dla tła, nie dla solistów. Kojarzono więc bardziej olsztyńską grupkę z zespołem akompaniującym Teresie Skomrzę, niż z oryginalną propozycją artystyczną. Owszem, niektóre piosenki „Nieba” weszły nawet do kanonu tzw. „piosenki studenckiej”. Niektóre przekroczyły nawet miarę sezonowego sukcesu (na przykład „A jednak po nas coś zostanie”, z tekstem Bogusława Żmijewskiego — uznane za swoisty manifest pokoleniowy...) — niemniej sam zespół nigdy nie wyszedł ze swego olsztyńskiego zaścianka.

Jednym z muzyków grających w „Niebie” był gitarzysta Stefan Brzozowski. Kompetentny muzyk, który odczuł także powołanie solisty. Trudno się więc dziwić, że u schyłku lat siedemdziesiątych on właśnie pojawił się jako lider formacji „EX”, powstałej z byłych członków „Nieba”. Występując jako solista — otrzymał Brzozowski wraz z grupą „EX” główną nagrodę Studenckiego Festiwalu Piosenki w roku 1979. Stał się znany.

Wszelako — jak wiemy — popularność środowiskowa nie pozwalała u nas na mniemanie, iż się jest naprawdę popularnym. Okazało się wkrótce, że Brzozowski, niewątpliwie idol środowiska akademickiego — a co ważniejsze muzyk biegi i piosenkarz bardzo kompetentny — nie ma „przebić” do widowni masowej. Zapewne byłoby łatwiej mu, gdyby nie mieszkał w Olsztynie. Kto zeżche poważnie traktować piosenkarza, który nie występuje w telewizji, nie nagrywa płyt etc.?

Zośliwli twierdzą, że inna jest jeszcze przyczyna, dla której Brzozowski nie zrobił kariery przynależnej umiejętnościom i talentowi. Jest to mianowicie artysta biegi nie tylko jako wykonawca czy akompaniator — ale i jako autor. Kompozycje Brzozowskiego nie ustępują profesjonalnym produktom ludzi „z branży”. Przepięta są dla nich potencjalnym zagrożeniem. Jaki interes w lansowaniu konkurencji mieliby obrośli w „Zaikowskie” tantiemy warszawianie?

Pozostał więc Stefan w Olsztynie. A jak jest w Olsztynie? Powinnością rozgłoszenia radiowa o manierach radiowca, dwie gazety, które unieść mogą co najwyżej propagandę czegoś, co propagandy już nie potrzebuje. Brak instytucji artystycznych z prawdziwego zdarzenia...

Jedyną taką — *sui generis* — instytucją stał się wspomniany tu już festiwal, a właściwie „Zamkowe Spotkania — Śpiewajmy Poezję”. Raz w roku na Olsztyn wrócone bywają oczy fachowców, zaś za ich pośrednictwem także i uwaga słuchaczy.

Brzozowski od wielu lat jest filarem olsztyńskiego festiwalu. Jest jego etatowym niejako akompaniorem, jest wykładawcą na organizowanych z tej okazji „warsztatach”. Jest solistą przyjmowanym zawsze chętnie.

W ostatnim czasie Stefanowi przyszła ochota na jeszcze jedno „podejście do kariery”. Złożył mianowicie zespół „Czerwony Tulipan”, w którym jest głównym wokalistą (obok Ewy Cichockiej i Krystyny Święteckiej). Z „Tulipanem” wziął nagrody na ubiegłorocznych Iódkich „Prezentacjach Estradowych ESTRA-DA 88”. Wystąpił kilkakrotnie w Opolu i na innych poważnych scenach (jeśli w tej niepoważnej dziedzinie istnieje coś takiego jak poważna scena, oczywiście). I nic. Nadal popularność nie przychodzi, nadal publiczność nie kojarzy tego artysty...

Tegoroczny występ w Olsztynie był więc w jakis sposób symboliczny dla Stefana. Był jakby kolejnym potwierdzeniem, że powinien pozostać wielkością lokalną. Artyście prowincjonalnemu zostaje to tylko w istocie. Może jeszcze ewentualnie próbować zmienić swą prowincję w dzielnicy Europy. Przynajmniej do swego światka świat. To jakby się nie udaje, przynajmniej w przypadku Olsztyna.

Ma oczywiście Brzozowski jeszcze jedno wyjście. Może przenieść się do Warszawy. Może wówczas byłoby łatwiej upowszechnić jego niekwestionowane walory? Tylko łatwo powiedzieć! Gdy ktoś nie jest nastolatkiem, gdy ma rodzinę, dom, krąg własnych przyjaciół, skojarzanie całego życia...

To smutne co powiem — ale nie wierzę w przyszłość szczególnie dla Stefana pomyślną. Zostanie zapewne w swym Olsztynie, będzie dubał przy gitarze, układał melodie, śpiewał pod lipą na festiwalu. Albo jeszcze gorzej — pojedzie na stądek, do lokalu, do knajpy z danciem...

A my będziemy tak ubodzy, jak jesteśmy...



## „Biegoniczanka”

Boisko przy ul. Towarowej w nowosądeckiej dzielnicy Biegonic jest w fatalnym stanie. Od dawna jego nawierzchnię należało poddać renowacji. Tak nie jest. Powód? Prozaiczny i typowy zarazem — brak środków finansowych. Tuż za boiskiem, na podmurówce, wybudowano piętrowy domek typu „Lubogosz”. Jest w stanie surowym. Nie oszklono jeszcze okien. Brak prądu i wody. Nie ma szatni przy boisku, toteż piłkarze gości przebiegają się w samochodach bądź — gdy jest sprzyjająca aura — na polu. Zawodnicy miejscowi docierają na mecz już przebrani w stroje sportowe. Mieszkają blisko, w sąsiedztwie boiska. Większość wywodzi się z Biegonic, Łazów Biegonicznych i Dąbrówki. Po meczu spoceni, umorusani wracają do domów. Goście, chcąc się obmyć po trudach 90-minutowej futbolowej rywalizacji, biegną na stację PKP. Pod pompę...

Od 1948 roku w Nowym Sączu działa LZS, od 1985 roku jest to już **Ludowy Klub Sportowy „Biegoniczanka”**. Prezesem mu, będący na emeryturze, Stanisław Poręba. Adres na piśmie firmowym klubu to adres do prezesa (jako że „Biegoniczanka” po dziś dzień nie ma własnej siedziby). Domek klubowy w budowie, do ukończenia wprawdzie bliżej niż dalej, ale... Właśnie to „ale” spędza sen z oczu większości działaczy klubowych. Toteż liczą oni — wobec trudnej sytuacji finansowej — na większą pomoc z zewnątrz.

— **Jak na razie** — mówi sekretarz klubu, **Zdzisław Ingier** — **najwięcej środków świadczy do klub Nowosądeckie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej, Zakład w Biegonicach. „Cegielnia”** opłaca nam zakupy sprzętu sportowego, wypożycza też „osinobus” na mecze wyjazdowe piłkarzy. Duża w tym zasługa dyrektora zakładu, inż. Stanisława Zajęca oraz instruktorki ds. socjalnych w tym przedsiębiorstwie, Anny Wesolowskiej. Czym odpłaca się klub za ową pomoc? **Przed wszystkim organizacją spartakiad i turniejów. I to nie tylko dla zalogi NPCB, która oczywiście ma priorytet. Przykładowo, już we wrześniu odbędzie się na boisku „Biegoniczanki” spartakiada zakładów pracy w piłce nożnej, w której udział wezmą reprezentacje: Zakładu Obrótu Artykułami Przemysłowymi i Spożywczymi WZGS „SCh”, Zakład Zaopatrzenia Rolnictwa oraz Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego w Nowym Sączu. Grać będą systemem „każdy z każdym”, a na listopad zapowiedziano już rywalizację**

w tenisie stołowym. **Spartakiadę organizuje sekcja sportów masowych, którą kieruje osobiście.**

Najliczniejszą, spośród trzech działających w „Biegoniczance” sekcji, jest sekcja piłki nożnej. Ćwiczy w niej około 30 seniorów i juniorów, prowadzonych przez **Marka Sadlisza**. Jest też zespół trampkarzy; zajęcia w tej grupie wiekowej prowadzi **Czesław Koćsz**.

— **W poprzednim sezonie seniorzy zajęli drugie miejsce w klasie „B”, ustępując różnicą tylko jednego punktu drużynie LZS „Jedność” Piątkowa** — informuje **Marek Sadlisz**. — **Juniorzy, występujący również w klasie „B”, zajęli identyczną lokatę. Sytuacja jest trudna. Chcielibyśmy wyremontować boisko. Nie ma w czym grać, para butów piłkarskich kosztuje — 16-20 tys. zł. Piłkarze trenują we własnych podkoszulkach, spodenkach i korkotrampkach. Sprzęt z klubu dostają jedynie na mecze. Ale cóż poradzimy na to. Wszak „każdy orze jak może”. A my jesteśmy wyjątkowo amatorskim klubem.**

Oprócz sekcji piłki nożnej i sportów masowych w klubie działa jeszcze — i to dość prężnie — sekcja tenisa stołowego. Prowadzi ją **Wacław Witowski**. Pingpongiści LKS „Biegoniczanka” występowali w minionym sezonie w rozgrywkach klasy „A” na szczeblu OZTS. Zajęli czwarte miejsce.

Za kilka tygodni odbędzie się w „Biegoniczance” walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Działacze będą radzić nad sposobami wyjścia z finansowego impasu.

Będą też chcieli pozyskać nowe zakłady patronackie dla klubu. Czy w tym gronie znajdują się, sąsiadujące z boiskiem „Biegoniczanki” przez ulicę, Sąddeckie Zakłady Elektro-Węglowe? A może sami działacze klubu znajdą sposób, jak zdobyć potrzebne pieniądze? Sekretarz klubu, **Zdzisław Ingier**, planuje utworzenie ośrodka wodnego nad Popradem, na granicy miasta. Z propozycją zamierza wystąpić na październikowym zebraniu.

**JERZY RZESZUTO**

Schroniska górskie PTTK

## Dom Turysty w Zakopanem

W centrum Zakopanego stoi **Dom Turysty PTTK im. gen. Mariusza Zaruskiego**. Budowa jego trwała pięć lat, a oddano wspaniały obiekt w użytkowanie turystów w grudniu 1958 roku. Dom, wyróżniający się zarówno architekturą, jak i kubaturą (34020 m sześć.) spośród budowanych do tej pory schronisk górskich, w miarę upływu czasu zyskiwał sobie coraz większe powodzenie wśród turystów, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Powodzeniu temu towarzyszyła nieodłącznie dobra opinia, a trzeba wiedzieć że Dom Turysty od momentu otwarcia — mimo remontów — czynny jest bez przerwy. W ciągu 30 lat jego istnienia schronienie znalazło tu około 2,5 mln osób.

Dom Turysty PTTK w Zakopanem położony jest na wysokości 845 m n.p.m. (przy ul. M. Zaruskiego 5). Wzniesiony na planie kwadratu o boku 64 m posiada — cztery kondygnacje, a w jednej części gmachu aż pięć. Starannie wykonane są wnętrza. Zastosowano ozdobne okucia, klamki, żyrandole i stolarke. Elementy zdobnicze sztuki góralskiej połączone zostały z komfortem i nowoczesnością. Marмурowe posadzki i schody lśnią czystością.

Na parterze budynku mieści się obszerne, stylowa restauracja. W hallu recepcyjnym jest kiosk z prasą, książkami i pamiątkami. Jest też kasa walutowa, a także punkt informacji turystycznej. W przziemiu znajduje się bar, zaś na piętrze kawiarnia.

— **W Domu Turysty PTTK** — mówi jego dyrektor, **Stanisław Hubicki** — **mamy 527 miejsc noclegowych o różnym standardzie. Z tego około 40 w pokojach dwuo-**

sobowych; kilka jest już z łazienkami. Koszt noclegu w takim pokoju wynosi 4400 zł, z tym że 1 tys. zł przeznaczamy na bon dla turysty, za który może wykupić posiłek w naszej restauracji. Podobnie jest w przypadku turysty zamieszkującego w pokoju trzypokojowym (nocleg — 3100 zł). **Poza tym posiadamy pokoje 6- i 8-osobowe oraz sale zbiorowe (12-16 osób). Dysponujemy też dużym pokojem przeznaczonym na narady dla grup zorganizowanych. Jest to duńskodęgniacyjna Sala Sabalowa, z kominkiem.**

**Najtańsze noclegi u nas kosztują 1100 zł od osoby, jednak one, które podaje — do końca sierpnia, z pewnością się zmienią. Robimy jednak co możemy, żeby nie „zdzierać” z turystów. Np. mieliśmy dopuszczalną marżę na mięsie w wysokości 200 procent. Ponieważ ceny mięsa i jego przetworów znacznie wzrosły, w związku z urynkowieniem handlu, zmniejszyliśmy marżę do 100 procent. Dzięki temu pociągnięciu turysty nie narzekają.**

W tej chwili w Domu Turysty mamy komplet gości. Sądzę, że tak będzie przez całe lato. Mimo łuku, nie rezygnujemy z modernizacji obiektu. W „dwójkach”, w których nie ma łazienek, a gdzie dawniej były tylko umywalki, zamontowano dodatkowo prysznic w kabinach. Wykonujemy też remonty łazienek zbiorczych. Pracownicy działu hotelowego mają wreszcie dla siebie szatnie i ubikacje. Przez ostatnie trzy sezony wymieniano pokrycie całego dachu. Zużyto na to 6 tys. m kw. gontów, a koszt tej inwestycji wyniósł 55 mln zł.

Rz.



Fot. MICHAŁ SROKA

TADEUSZ STUZIŃSKI

## STADNINA GUBERNATORA (6)

Spojrzałem na zegarek: pierwsza po północy. W baczce pokwitowałem odbiór stadniny, czterdziestu owiec, uźd, powrozów, linówek, z wyliczeniem sztuk zarekwirowanej zdobyczy, jak prosił Bulik. Chciał mieć magazyn wyczyszczony ze wszystkiego. Dopisałem, że zajęcia doskonał oddział Armii Krajowej. Wszyscy stajenni i moi chłopcy odeszli do koni. Stały na razie za bramą, uwiązane do parkanu. Przy stajni czekały jeszcze owce. Gołąb z Czerwińskim szykowali się do marszu. Mieliśmy wziąć czterdzieści sztuk. Kiedy jednak niskawy i starszy już baco rachował je głośno w furcie i chwycił każdą za welnę, to po trzydziestce zrobiła się już taka duża przerwa pomiędzy owcami, że te z majdanu, które miały zostać, natarły chmarą na baczę, aby zdążyć za trykiem. Przewróciła górala i przykryły go tak, że chłopiny nie było widać. Tratowały po nim i pędziły z górki za stadem. Smielniejszy się wyszszczy przygody owczarza. Gdy się podniósł, długo strzepywał coś z karku i przeklinał swoje wychowanie.

— Samiście widzieli, baco, że wołały z nami, jak z wami — pocieszałem górala. — Macie teraz urlop do wiosny!

Pożegnałem Bulika, baczę i pobięgem z końmi. Dojechałem ja na szosie w dole. Owce szły przodem. W

świecie księżycy widziało się, jak welniaste grzbiety setki owiec wywołują ruchomą falę na całej szerokości drogi.

Nagle pod lasem powstał tumult przy koniach i po chwili dwa ogiery galopowały z powrotem do stajni. Rwały środkami szosy i wkrótce pędziły serpentynami w górę do swego majdanu.

— Niech to piorun strzeli!

Chłopcy, zmęczeni długą szarpaniną, byli zrezygnowani. Żaden nie kwapił się do podejścia. Prosił mnie, żeby arabom darować wolność. Niech ich tam Bulik wyściska.

Nie darowałem jednak. Zabrałem ze sobą góralczyka i poszliśmy do majątku. Tymczasem stado stanęło. Owiec już nie zobaczyłem. Gołąb z Czerwińskim skreślił z nimi pomiędzy smreki na chodnik i poredykowali do Pżywółki.

Na serpentynach stajenny mówił zdyszany:

— To te myszate... One razem uciekły... Zawsze się pierony trzymają ze sobą... Poznałem je, a jakże... Od razu... Oba jednakowe, myszate...

Pan Bulik z baczą stali jeszcze smutnawej przy bramie, a obok nich dwa owczary szarpały łapczywie smakołyki od Jelitki.

— No i jeszcze się spotykamy — powiedziałem do gospodarzy. — Ta myszata parka nie lubi niewoli.

W kilka minut później wracaliśmy do bramy ze zbiegami. Pan Bulik prosił mnie, aby napisać nowe pokwitowanie, bo na starym było owiec czterdzieści, a wzięto wszystkie. Stusznie. Bulik z baczą stali przed bramą i tym się pewnie martwili. Poprawka zajęła dwie minuty. Wreszcie zbiegami serpentynami do tabunu na głównej szosie.

Uszykowaliśmy się do pochodu. Przodem, przy rowach puściłem dwóch partyzantów. Za nimi, w odległości stu metrów konie, prawym poboczem drogi. Górale prowadzili po dwa, a partyzanci po jednym. Było nas trochę za mało, wstąpiliśmy więc do najbliższych chałup dobrać dwóch — trzech chłopców do prowadzenia. Partyzanci powinni iść luzem. W przypadku strzelaniny było to konieczne. Z branką poszło szybko. Stajenni Bulika wiedzieli, w której zagrodzie można najprędzej zerwać z pościeli zgrabnego pomocnika.

Niedaleko majątku, przy potoku, mieściła się stolarnia. Miałem pewien cel, żeby wziąć stolarza za przewodnika. Polecał go Czerwiński, gdyśmy szli do Bielanki, że jest to chłop odpowiedzialny. Przy jego pomocy można było zmylić jutrzejszą pogoń. Na młodych chłopców nie mogłem liczyć w takiej dyskretności sprawie.

Pukałymi dość długo. Otworzyła pewnie stolarzowa. Zauważyłem, że niechętnie. Zaraz za mną wszedł Jelitko. Ale w pobieg zabrał się i z uśmiechem w głosie pozdrowił kocięte:

— Dobry wieczór!... Jak to się można spotkać przypadkowo...



# Powiedzieli nam

**Wiesław Spiegel** — Szkoleniowiec sekcji piłki nożnej KKS „Sandecja”:

— W latach 1961-70 (z przerwą, spowodowaną ciężką kontuzją) występowałem, jako piłkarz, w zespole „Sandecji”. Jako szkoleniowiec prowadzę od wielu lat szkołę piłkarską, w której obecnie jest 28 chłopców. Część z nich występuje w zespole juniorów młodszego klubu, resztę stanowią trampkarze. Będę opiekował się nimi, do chwili, aż ukończą wiek juniorski.

Grupa ta znajduje się pod szczególną opieką zarządu „Sandecji”. Dla naszych młodych piłkarzy organizowane są obozy letnie i zimowe, wjeżdżają też za granicę — byli w CSRS i NRD. Wyjazdy — to nagroda za dobre wyniki. W sezonie trenujemy cztery razy w tygodniu, potem rozgrywamy mecz mistrzowski. Należy podkreślić duże zaangażowanie chłopców i ich zdyscyplinowanie na treningach oraz niezłe wyniki w nauce.

W poprzednim sezonie moi trampkarze w 12 meczach o mistrzostwo klasy wojewódzkiej uzyskali 23 punkty. Nie przegrali ani jednego spotkania, wiosną nie stracili gola, uzyskali też imponujący bilans bramkowy 107:2. Z grupy tej 19 chłopców reprezentuje okręg nowosądecki w zespołach trampkarzy młodszego i starszego. Dziś, na przykład, pięciu udało się na zgrupowanie kadry OZPN juniorów w Limanowej.

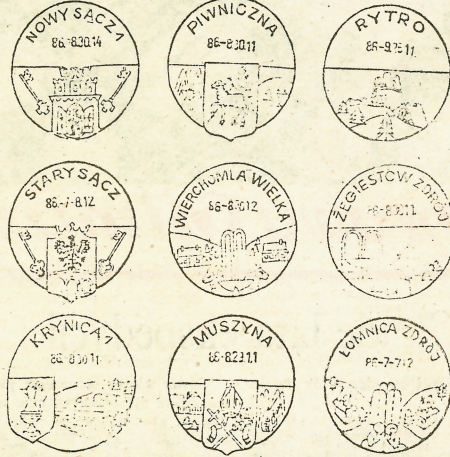
Zimą klub nie miał pieniędzy, toteż obóz szkółki piłkarskiej, jaki mieliśmy w Zakopanem, finansowali oprócz ZNTK — głównego sponsora klubu — rodzice chłopców bądź też zakłady pracy, w których oni

pracują, oraz Oddział PKS i Sądeckie Zakłady Naprawy Samochodów. Obóz letni mieliśmy w dniach 21 lipca — 7 sierpnia br. w pięknie położonym ośrodku ZNTK w Cieniawie (12 km od Nowego Sącza). Trenowaliśmy trzy razy dziennie, pracując głównie nad doskonaleniem techniki gry. Warunki mieliśmy bardzo dobre. Tym razem nie było kłopotów finansowych, część środków została nam jeszcze z organizacji poprzedniego obozu, otrzymaliśmy też kolejne dotacje z PKS i SZNS. Chłopcy pilnie uczestniczyli w zajęciach treningowych, nie oszczędzali się. W trakcie zajęć obozowych rozegraliśmy sparring z juniorami „Sandecji”, występującymi w lidze międzywojewódzkiej. Wynik był remisowy — 2:2, natomiast trampkarze pokonali swoich rówieśników 5:1, a w rewanżu 1:0.

W zespole trampkarzy starszych wyróżniają się: bramkarz — Stanisław Bodzono, obrońcy — Krzysztof Jedynak, Leszek Chelmecki i Grzegorz Słowik, pomocnicy — Rafał Różycki i Jacek Paćcyna oraz napastnicy — Piotr Nowak i Maciej Grądziel („król strzelców” z poprzedniego sezonu). Wśród trampkarzy młodszego prym wiodą: obrońcy — Krzysztof Zabzański i Jakub Stanczak, pomocnik Jerzy Wojnecki oraz napastnik Maciej Jawor.

W pierwszszym zespole seniorów „Sandecji” wszyscy piłkarze — oprócz Chlebka, Pacholika i Glucha to wychowankowie naszego klubu, którzy występowali w prowadzonym przeze mnie zespole juniorów. Sądzę, że wymienieni trampkarze pójdą ich śladem. A może nawet dalej?

# Piękne stemple



W lipcu 1986 roku władze pocztowe naszego województwa wprowadziły w 7 swoich urzędach (Nowy Sącz 1, Stary Sącz, Rytko, Łomnica Zdrój, Wierchomla, Żegiestów Zdrój i Kryńca 1) ozdobne kasowniki pocztowe. Dla dużej rzeszy filatelistów jest to nie lada gratka. Znam osobście kilku, którzy specjalnie wybrali się na wycieczkę Doliną Popradu, aby zdobyć te pięknie wykonane graficznie stemple. Pochwalić należy też urzędy pocztowe za dobrą informację dla turystów i wczasowiczów o posiadaniu i stosowaniu stempli. Chętnie widzielibyśmy rozwój tej inicjatywy i wprowadzenie ozdobnych kasowników pocztowych na następnych ciągach turystycznych — pienińskim, gorczańskim, beskidzkim, lemnowskim, podhalańskim, orawskim, spiskim. Mam nadzieję, że Wojewódzka Dyrekcja Poczty weźmie też pod uwagę i nie pozwoli długo czekać na kolejne stemple. Jest to dobra propaganda zarówno inicjatywy pocztowych, jak i walorów turystycznych poszczególnych regionów naszego województwa.

eS-Ka

Miliony oglądają ich wyczyny na stadionach i za pośrednictwem tv. Są też autorami osiągnięć budzących podziw. Nie brak wśród nich i Polek. Fenomen Ireny Szewińskiej, zmagania Teresy Zarzeckiej z kanałem La Manche, Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz z falami mórz podczas samotnego rejsu czy też wspinaaczka Wandy Rutkiewicz na szczyt Mount Everestu to tylko przykłady jedne z wielu. Te jeszcze zrozumiałe dla przeciętnego zjadacza chleba. Jednak w sporcie wyczynowym coraz częściej panie zaczynają brać się do dyscyplin dotąd rezerwowanych i uprawianych wyłącznie przez mężczyzn. Obserwujemy sporty, wydawać by się mogło nieodpowiednie, ba, wręcz szkodliwe dla zdrowia kobiet, wchodzące triumfalnie do programów mistrzostw Europy, świata czy igrzysk olimpijskich. Panie, nie szanując własnego zdrowia — brną jednak dalej.

Pierwszy bieg kobiet na długim dystansie, naocznie 800 m, miał miejsce podczas Olimpiady w Amsterdamie w 1928. Faworytką konkurencji, japońka Hitomi, przegrała wówczas z Niemką Radke, mdlejąc na mecie. Zemlała wtedy większość finalistek tej konkurencji po dramatycznym zresztą biegu. Rywalizację kobiet na wspomnianym dystansie wznowiono dopiero w Rzymie w 1960. Płci pięknej ten dystans jednak nie zadowalał. Chciały więcję. Dobrymle do maratonu.

## Z bocznej trybuny

# Słaba płeć?

O maratonie w wykonaniu pań zaczęło być głośno od 1967 za sprawą skandalu, jaki przydarzył się na trasie sławnego biegu w Bostonie. Zapisała się do niego (używając fikcyjnego imienia) Amerykanka Kathy Switzer. Udało jej się zmylić czujność sędziów — prawo udziału mieli bowiem wyłącznie mężczyźni — i wystartować. Dopiero na trasie zawodniczkę zauważył jeden z porządkowych i chciał ją zatrzymać. Nie wziął jednak pod uwagę, że Kathy assekurowuje jej przyjaciel, ważący ponad 100 kg osiłek, uprawiający rzut młotem. Dotarła do mety i przed pięćmi laty jako jedna z dyrektorek znanej firmy kosmetycznej „Avon”, która organizowała biegi dla kobiet, była sponsorem kobiecego maratonu podczas Igrzysk w Los Angeles rozegrano pierwszy w historii nowożytnych olimpiad bieg maratoński kobiet. Zapisany został w annałach nie tylko jego debiut tej konkurencji. Bieg miał swoją bohaterkę, nie była nią jednak złota medalistka — Joan Benoit z USA, lecz zawodniczka, która zajęła... 37. miejs-

ce. Determinacja, z jaką Szwajcarka Gabriela Andersen-Schiess, potykając się i zataczając, dążyła do mety, wybudziła podziw publiczności. Szwajcarka kończyła konkurencję — przeprowadzoną w bardzo trudnych warunkach, przy 30-stopniowym upale i gęstniejącym smogu — w stanie krącowego wyczerpania. Lekarze stwierdzili u niej utratę przytomności (za linią mety), spowodowaną udarem słonecznym, niedotlenieniem i odwodnieniem organizmu. Zawodniczka opuściła stadion na noszach. Przytomność odzyskała po dwóch godzinach intensywnych zabiegów lekarskich. Dążenie do upragnionego celu, do mety, omal nie zakończyło się tragicznie. Sport to zdrowie! Owszem, ale w granicach zdrowego rozsądku.

Przed bodając 10 laty prasę całego świata obiegły zdjęcia z pierwszego pojedynku bokserskiego kobiet na ringu w USA. Nie wiem, czy panie w stroju topless, krzyżujące rekawice, zdawały sobie w pełni sprawę z tego, co czynią. Wiem natomiast, że

coraz bardziej popularne wśród pań stają się do niedawna jeszcze typowo męskie dyscypliny, jak piłka nożna czy judo. W tej ostatniej dyscyplinie stosowane są techniki mające na celu wywołanie bólu u rywalki i zmuszenie go w ten sposób do poddania się. Muszę przyznać, że podobnie jak wielu działaczy, sędziów i trenerów — nie mogłem sobie wyobrazić wiotkiej niewiasty duszącej swą rywalkę czy „ciągnącej” bolesną dźwignię stawu łokciowego. Okazało się jednak, że panie potrafią to robić w sposób kobiecy — subtelnie i elegancko, przeciwniczki zaś poddają się bardzo szybko. Tak więc tutaj patrzeć, jak urocze dziewczęta zaczyna grać w rugby bądź „wózkować” się na macie. Co postanowie się w tym wymachują sztangami. I pomyśleć, ilu lekarzy i fachowców zabierało głos w tej kwestii. Wiele pisało się i mówiło o szkodliwości tego rodzaju wysiłku. O szkodliwości dla potencjalnych matek. Czyż kobieta-bramkarka przyjmująca na piersi piłkę po silnych strzałach rywalk nie jest narażona na poważne urazy? A czy nie jest jeszcze gorzej w ringu? Czyżby żądne sukcesów sportowych kobiety nie posuwają się zbyt daleko, ryzykując zdrowiem i życiem na boisku, w hali czy na bieżni? Podobnych pytań można stawiać wiele. Na razie są to głosy wołającego na puszczy. Kto bowiem odważy się powiedzieć kobietom: stop?

JERZY RZESZUTO

— Dobry wieczór — odburknęła Jelitce i spuściła głowę.

Mąż wciągał buty zdehumorowany. Kilka razy próbował się wykroczyć z wątpliwego zaszczytu prowadzenia nocy. Przekonywał mnie, żeby wziąć pierwszego z brzegu górala. Oni wszyscy znają okolicę. Po co on? Nie odpowiedziałem i czekałem, aż się ciepło ubierze. Przed progiem wpakowano trzy plecaki z baraniną na plecy dobranych ze wsi chłopaków. Gdy spojrzeli to Jelitko, spytał mnie cicho, czy można zostawić ciężarki dla stolarzowej? Mrużył przy tym zabawnie oczami i tak niejasno opisywał charakter znajomości, że z usmiechem kiwnąłem głową.

— Zostaw całego — powiedziałem — udobruchamy mężusia.

Jelitko, uradowany wyraźnie, prosił kobietę, aby przeladowała w kuchni barana. On jej pomoże, bo baran jest związany. I poszedł za nią.

Wreszcie pozatłaliśmy w Bielance wszystkie interesy i o drugiej po północy ruszyliśmy. Do Doliny Czarnego Dunajca szła tylko szosa. Innej drogi nie było. Trasa górami opadała, bo przez Byzówkę nadkładaliśmy sześć kilometrów, a postój tam z konią był wykluźniony. Po chwili namysłu pokazałem ręką prostokątną granicę. Mogliśmy spotkać Niemców na szosie, ale czy jest taki dzień, kiedy się nie ryzykuje? Od świtu dzieliło nas jeszcze cztery godziny. Musimy nocą koniecznie przeskoczyć bagnistą dolinę Czarnego Dunajca i stanąć głębiej na Podhalu.

— Trzeba odrobić czas — powiedziałem do wszystkich — dlatego po trakcie posuwamy się z koniami ga-

zem. To tylko cztery kilometry. Dopiero potem już wolniej.

Mówiono, że Niemcy z placówek przejeżdżają rano samochodem po szosie do Chabówki. Jar był głęboki, a stoki zalesione. Pół godziny szliśmy tak szybko, że koszułe przywierały do pleców. Tabun się wyciągnął, nie wszyscy mogli nadążyć marszem i doganiali czoło biegiem.

Nareszcie w dali zaświtało coś białego. Wychodziliśmy z czarnej i ciasnej gardzeli. Wyloniła się przed nami szeroka, zamglona dolina. Zalesione stoki zostały za nami. Już widać domy wsi Pieniążkowie. Stanęliśmy przy kapliczce, na skrzyżowaniu dróg. Konie uwiązano do drzew. Stąd odstaliśmy chłopców do Bielanki. Zatrzymałem tylko stolarza, już pogodzonego z nocną przogą. Do zagród wysłałem trzech, po nowych przewodników. Tymczasem pokolewaliśmy z koniami na obu stronach gościny. Ująłem albinosa przy pysku i pobiegłem skrajem lasu, gdzie leżało sporo śniegu. W ten sposób zrobiliśmy mnóstwo śladów, żeby zmylić jutrzejszą pogoń. Gdy przyszli chłopcy z przewodnikami, ruszyliśmy przez zarośnięte pole na rzut sierpem, w kierunku wioski Dział.

Miałem do wyboru kilka dróg. Założenie trasy było takie, żeby wyjść z bagien na zachód od przystanku PKP w Rogoźniku. Tam był początek wsi Stare Bystre Dolne i od razu zaczynały się góry, z mnóstwem ukrytych wądołów. Właśnie kręte doliny i wąpłowe wznieśnienia były dziś potrzebne.

Na skibach leżał cienki śnieg, co utrudniało marsz. Obawiałem się o skręcenie końskich nóg w kostkach na gradzie. W takim terenie nie wolno nam przyspięszać.

Wioska Dział stała w szczerym polu. Przechodziliśmy od niej dość blisko. W ciasnym zgrupowaniu domów nie wystawało nad dachy ani jedno drzewo. Araby szły po orce ostrożnie. Trud marszowy ostudził ich błękitną krew, wrzacał jeszcze niedawno. Nie spoglądałem na mapę przy latarce, gdyż odcinki bagienne zapamiętałem przypatrując się im długo na melinie u Władka. Za Działem wycelowałem na południe, a więc rekła powinna być blisko. Wkrótce skończyło się zarośnięte pole i stapałiśmy po trawiastym kożuch. Piekelnik, lewy dopływ Czarnego Dunajca przekroczyliśmy chybotliwym mostem pod Długopolem. Stupy jego konstrukcji chyliły się w różne strony, toteż most bujał się pod koniami. W zbuntowanym poszyciu jezdni czerniło się mnóstwo dziur, zagrażających końskim nogom. Przechodziliśmy po nim wolniutko. Tuż za wsią zaczęła się tundra, płytko tylko zestywniała od mrozu. Konie wpały do pecin, a i nasze bućki chłupały w bagnie. Most w Długopolu przecinał główne koryto Czarnego Dunajca. Na mniejszych rekawach rzeki przetrzciano niskie mostki na podłużnych kłokach. W dolinie czuło się większy mroź niż w górach. Tej nocy natura dała dobre warunki koniakorom, ale tylko na twardym gruncie. Nas doświadczyła, bo za piękne bieguny musieliśmy się kapać w mokradła.

Po wyjściu z Beskidu krajobraz zmienił się radykalnie. W krąg widać było tylko sianą płaszczynę i szliśmy w niej, jak w mlecznej bani. Góry zostały we mgłę. Z młaków nikt by się nie domyślił, że niedaleko na północny lasy wyskakują na stoki kilkadziesiąt metrów pod niebo.

(ciąg dalszy nastąpi)



## Niefortunna kolonia

Tę sprawę można by właściwie puścić w niepamięć. Dzieci — główni poszkodowani — zaprzęgnięte są teraz nowym rokiem szkolnym, kolonijna opalenizna i nieprzyjemne wspomnienia zadyżły już przyblednąć. Mimo to przypominamy w kilku słowach, w jakich warunkach przyszło spędzić dzieciom pracowników „Glimaru” trzy wakacyjne tygodnie.

Koloniję zorganizowano na przełomie lipca i sierpnia w miejscowości Charzykowy (woj. bydgoskie), nad jeziorami. Po pewnym czasie rodzice w listach od swych pociec znajdowali — prócz opisów wrażeń z wycieczek i zabaw — także niepokojące wzmianki o złymżywieniu i fatalnym stanie budynku, w którym dzieci mieszkaly. By rzecz sprawdzić na miejscu, 27 lipca pojechała tam kilkuosobowa komisja. To, co zobaczyła, potwierdziło informacje z listów. Z prowadzonej przez agenta stołówek, w której żywy były dzieci, mogły być zadowolone jedynie muchy, rojami oblegające kuchnię. W chłodniach znaleziono jarzyny wymieszane z mię-

sem, przyrzucone tekturowymi kartonami ze smalcem. W pomieszczeniach stołówek — jak powiedział jeden z członków komisji — „brud, smród i ubóstwo”. Przeglądając raporty, jadlospisy i kalkulacje — stwierdzono, że agent nieuczciwie zawarł koszty wyżywienia. Gdy zażądano książeczek zdrowia od zatrudnionych w kuchni, okazało się, że tylko dwie osoby zrobiły wymagane badania. Dziwnie to do podobno chojnicki Sanepid kilka dni wcześniej przeprowadzał kontrolę, która nie stwierdziła żadnych uchybień.

Przedstawiciele „Glimaru” zdecydowali, że kolonijni będą się stołować w pobliskiej restauracji. Agent zobowiązano do rzetelnego skalkulowania cen, a chcąc polubownie załatwić sprawę „wycogospodarowanych” kosztem dziecięcych zoładków oszczędności — postanowiono, że urzędzi za te pieniądze dyskotekę i kupi słodycze.

Organizatorzy niefortunnej kolonii obiecają, że w przyszłym roku będą ostrożniejsi.

## Cena benzyny

Czy benzyna kupowana w stacjach CPN musi być aż tak droga? Ile kosztowałby litr paliwa nie obciążonego podatkami? Takie pytania zadaje sobie wielu zmotoryzowanych.

Jak dowiedzieliśmy się w dziale planowania i ekonomii Rafinerii, od 1 kwietnia bieżącego roku na wszystkie gatunki benzyn i oleje napędowe obowiązują ceny umowne. Jednak zniesienie gorsetu cen urzędowych nie przyniosło „Glimarowi” żadnych korzyści, gdyż o ostatecznym koszcie paliwa decyduje dystrybutor — Centrala Przemysłu Naftowego. Na cenę zbytu — w dużym uproszczeniu — składa się wartość surowca (tona ropy — 53 500 zł), koszty przetworzenia go, tzw. koszty ogólnozakładowe, marża hurtowa,

marża detaliczna (określana przez ministra finansów) i podatek obrotowy.

Jak więc widać, bardzo trudno byłoby podać choć przybliżoną „czystą” wartość litra benzyny. O windowanie cen paliw nie można obwiniać CPN, choć podawane przez tego dystrybutora — monopolistę ceny zostają umownymi tylko z nazwy, bo są narzucane klientom jednostronnie. Duże zyski ze sprzedaży paliw zasilają państwową kasę, a kontrola nad tym powsechnie używanym źródłem energii pozwała — w pewnym stopniu — na sterowanie gospodarką.

Rafinerie — wytwórcy paliw, nie mają żadnego wpływu na ceny detaliczne benzyn. Dlatego nie powinien dziwić kategoryczny sprzeciw tych przedsiębiorstw, kiedy w komunikatach przysięgowywnych po kwietniowym, wysokim wzroście cen paliw płynnych chcieli informować, iż decydują o podwyżce uzgadniają z rafineriami.

## Uwaga racjonalizatorzy

W bieżącym roku Rada Ministrów wydała rozporządzenie zmieniające niektóre przepisy prawa wynalazczego. Przypominamy kilka najistotniejszych zmian.

● Podwyższono najniższe roczne wynagrodzenie za projekt wynalazczy z 2 tysięcy złotych do kwoty stanowiącej 60 proc. najniższego wynagrodzenia obowiązującego 1 stycznia danego roku, określonego przez Radę Ministrów na podstawie kodeksu pracy. Najniższe wynagrodzenie za projekt racjonalizatorski wynosi więc w tym roku 10 680 zł.

● Zwiększono minimalne stawki zaliczek, które wynoszą 50 proc. przewidzianych wyższych wynagrodzeń, nie mniej jednak niż ich pięciokrotność (czyli w roku bieżącym — 89 tys. zł). Do tej pory zaliczka nie mogła być wyższa niż 20 tys. zł.

● Korzystniej wynagradzane są patenty, wnioski racjonalizatorskie i wzory użytkowe. Np. za projekt racjonalizatorski przynoszący zakładowi efekty w wysokości 500 tys. zł, twórca otrzyma 90 tys. zł (według wcześniej obowiązujących stawek — 60 tys. zł).

● Podniesiono wysokość nagród za realizację wniosków racjonalizatorskich z 60 do 100 proc. Poprzednio z kwoty tej 10 proc. przeznaczano na nagrody dla osób szczególnie przyczyniających się do rozwoju wynalazczości w danym zakładzie, obecnie 20 proc.

● Inną nowością jest zagwarantowanie twórcy prawa do podziału nagród za realizację jego projektu. Podział nagród za współudział i przyspieszenie realizacji wniosku dokonuje przedsiębiorstwo na wniosek twórcy.



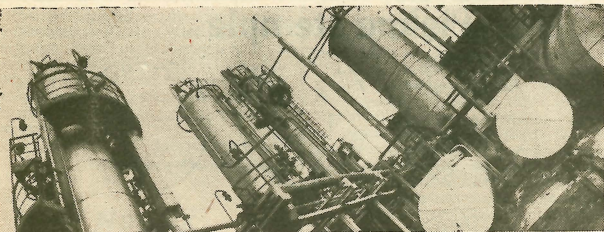
## Tak było...

W okresie międzywojennym, z inicjatywą działających w Rafinerii związkowców, organizowano tak zwane kółka strajków robotniczych. Aktywnością w tych kółkach wyróżniali się m.in. Józef Michalus, Jakub Bogdan i Tytus Grzywacz.

W roku 1923 pod presją trzytygodniowego strajku zawarto z dyrekcją pierwszy układ zbiorowy, nie poprawiło to jednak materialnej sytuacji robotników wobec szybkiej dewaluacji pieniędzy. W tym samym roku drugi strajk, zwany „czarnym”, wymusił kolejną podwyżkę płac. Następnym protestem, ogłoszonym w roku 1925 bez porozumienia z innymi organizacjami związkowymi, zakończył się niepowodzeniem. Zwolnieni zostali wówczas z pracy

prawie wszyscy działacze zarządu zakładowego związku zawodowego, część strajkujących ukarano, przenosząc do gorzej płatnych prac. Te radykalne posunięcia ówczesnej dyrekcji rozbiły grupę związkową. Dopiero w roku 1927 trzydziestu robotników Rafinerii potajemnie wstąpiło do związku zawodowego metalowców, działającego przy Fabryce Maszyn. W ten sposób utworzono nieformalną grupę, która w rok później przekształciła się w kierowany przez Józefa Michalusa oddział Związku Zawodowego Chemików.

W 1934 roku załoga Rafinerii protestowała przeciw uchwalonej w Niemczech faszystowskiej konstytucji i ordynacji wyborczej. Kolejny strajk, w rok później, był przejawem solidarności z robotnikami wyrzuconymi na bruk po likwidacji rafinerii w Libuszy. Zorganizowany wówczas pochod protestacyjny ulicami Gorlic został zatrzymany i rozbity przez silny oddział policji, a gorlicki sąd grodzki skazał dwunastu związkowców na karę aresztu.



## Sprawy Glimaru

### Chude lata ekspedycji

Mówi Józef Wojtas, kierownik działu ekspedycji:

— Ostatnio coraz trudniej mi zdobyć się na optymizm. Kłopoty gonią kłopoty. Weźmy na przykład sprawę opakowań, w których wysyłamy nasze wytwory — głównie smary, wazeliny i produkty płynne. Opakowań tych jest coraz mniej, produkujące je ślaskie huty nie wywiązują się ze zobowiązań. Żeby jakoś temu zaradzić, od czasu do czasu kupujemy niewielkie ilości opakowań od innych przedsiębiorstw, a w przeszłości ratowaliśmy się konfekcjonowaniem produktów w plastikowe pojemniki. Niestety, pojemniki te szybko się zużyły, problem pozostał.

Nasz dział jest odpowiedzialny za utrzymanie kolejowych bocznic i wag. Bocznicie są w nie najgorszym stanie, choć od lat próbujemy (jak na razie — bezskutecznie) odnowić je. Zagrożone jest zwłaszcza dolne torowisko, bo działa na nie przeciekająca przez wały kwaśna woda. Osuszenie torów będzie możliwe dopiero wówczas, gdy zostanie wybudowana specjalna pompownia. Inwestycję tę zaplanowano już dawno. Na razie jednak sprawa jej realizacji utknała, gdyż firma, którą zaangażowano, zgodziła się rozpocząć prace dopiero wówczas, kiedy sprowadzimy kompletne wyposażenie takiego obiektu. O ile wiem, termin dostaw potrzebnych urządzeń coraz to się odwleka, a podkłady, zalane wodą — niszczeją.

Nie czekamy jednak z założonymi rękami i to, co możliwe, staramy się zrobić sami. Nasza brigada torowa wymienia rozjazdy, część torów i podkładów, wzmożniła podtorze. Prowadzimy prace przy nowej wadze kolejowej. Na razie zmontowana została mechaniczna część wagi, musimy jeszcze postawić budynek — zaplecze socjalne dla obsługi, doprowadzić prąd, wodę, kanalizację itp.

Coraz więcej stanowisk pracy jest w wydziale nie obsadzonych, liczne zwolnienia chorobowe powiększają jeszcze niedostatek kadry. W tej chwili powinienem zatrudniać pięciu pracowników do dozoru — a zostałem tylko ja. Brakuje wielu ludzi do prac fizycznych. Na przykład zespół czyszczycieli cystern nie liczy nawet połowy niezbędnego stanu, z zespołu dyspozytorów wagowych ubyło dwóch ludzi, jak dotąd nie udało mi się znaleźć zastępców. A przecież byle kim nie mogę obsadzić tych miejsc pracy, muszą to być ludzie oddani, poważnie traktujący swoje obowiązki, o sporej wiedzy i doświadczeniu. Przy wadze nie zatrudnię nikogo spoza Rafinerii.

Pracownicy nie uciekają od nas, nie to jest przyczyną naszych kadrowych kłopotów; wykuszają się odchodząc na emerytury i renty. Młodzi zaś przychodzą do ekspedycji niechętnie, odstraszani nie tyle niskimi płacami, ile charakterem pracy i wysokimi wymaganiami.

Aby przeciwdziałać odpływowi ludzi i kłopotom z obsadzaniem stanowisk, na razie korzystam z pomocy pracowników nie wykorzystywanych w innych wydziałach, muszą też przedstawić zaistniałą sytuację kierownictwu przedsiębiorstwa. Sprawa jest pilna, bo niepełne zatrudnienie zagraża bezpieczeństwu pracowników i nie służy interesowi zakładu. Weźmy na przykład czyszczenie cystern: przeprowadzone niefachowo, bez odpowiedniej obsługi, może być przyczyną wypadku.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Wielu pracowników wydziału osiąga wiek emerytalny. Utaża się w przedsiębiorstwie zły zwyczaj, że gdy ktoś odchodzi z ekspedycji, nie obsadza się miejsca po nim, jego obowiązki muszą przejść pozostali pracownicy. Na dłuższą metę jest to polityka samobójcza.

## Mądry „Glimar” przed szkoda

Choć robi się w Rafinerii wiele, dla nie dopuścić do przypadkowych, groźnych w skutkach skażeń środowiska, należy jednak być przygotowanym na najgorsze. Właśnie taki cel: przygotowanie wybranych ludzi do likwidowania nadzwyczajnych zagrożeń — miały zorganizowane kilka tygodni temu ćwiczenia na rzece Ropie.

Jeśli już zdarzy się nieszczęście, należy działać szybko i zdecydowanie. Opracowano więc specjalną instrukcję określającą czynności, jakie należy przedsięwziąć w przypadku przedostania się do rzeki produktów naftowych. Instrukcja przewiduje użycie lekkiej, przenośnej zapory, którą można postawić w poprzek rzeki, poniżej napływających zanieczyszczeń.

Przeprowadzone przy mostach w Zagórzach i Kłęczanach próby wykazały, że postawienie zapory zajmuje najwyżej godzinę. Zestawienie prostej konstrukcji przegrody (są to żelazne słupki wbijane w dno, do których mocuje się przegrody z desek — a więc rodzaj łapaczki) nie sprawiło większych trudności nowym człon-

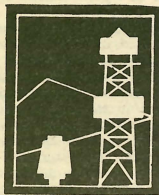
kom zakładowej ekipy ratowniczej, dla których zorganizowano szkolenie. Prawidłowo również manewrowano wozem a-senizacyjnym, potrzebnym do zbierania zatrzymanych na przegrodzie zanieczyszczeń.



Fot. ANDRZEJ BARA

Kolumnę „Sprawy Glimaru” redaguje JANUSZ WÓJCİK





# Głos Glinika

## Zakładowa poligrafia

— Drukujemy wszystko, co potrzebne Fabryce do „papierkowej roboty”, a więc sprawozdania, zarządzenia, polecenia służbowe, różnego rodzaju formularze, materiały zebrań (obsługujemy wszystkie działające w „Gliniku” organizacje społeczne i polityczne), instrukcje do produkowanych przez zakład obudów górniczych, katalogi, poradniki itp. — mówi kierownik Wilhelm Dąbrowski.

sługiwać wszystkie maszyny. Przydaje się to szczególnie wtedy, gdy trzeba wykonać błyskawiczne zamówienie.

Budynek, w którym zajmujemy kilka pomieszczeń („stare kasyno” przy ulicy Michalusa) przechodzi kapitalny remont. Niedawno sami, nie czekając, aż przyjdą brygady budowlane, odnowiliśmy nasze pokoje. Niestety przeciekająca przez dziurawy dach woda znów pokryła ciekami ściany i sufity. Ale nie to jest naszym największym problemem; jest nim brak papieru. Na szczęście nie zajmujemy się „zdobywaniem” papieru, robią to odpowiednie zakładowe służby.

Obsługa maszyn i proces przygotowania druku wymaga kontaktu z nieobojętymi dla zdrowia substancjami. Do utrwalania odbitek, wykonywanych na papierze i aluminiowej folii, potrzebne jest tri. Przy chemicznej obróbce matrycy używamy kwasu ortofosforowego, bardzo szkodliwe są też opary zmywacza do gum offsetowych. Mimo że w pomieszczeniach mamy sprawną wentylację, nie da się uniknąć choćby słabego wpływu tych chemikaliów na pracujących przy nich ludzi. Zanim zakupiliśmy nowoczesne maszyny, zagrożenie było jeszcze większe. Częste kontrole Sanepidu i zakładowego lekarza z reguły kończyły się zaleceniem, by przebadanych odsunąć od kontaktów z tri. Ale tamte warunki to już — na szczęście — przeszłość.

## Niechciana telewizja

W przyfabrycznym klubie „Gwarek”, mieszczącym się w Gorlickim Centrum Kultury, co czwartek wyświetlane są ciekawe programy zachodnich telewizji satelitarnych, nagrywane i przygotowywane przez dwóch pasjonatów: Zbigniewa Tkaczyka i Antoniego Trojana. Mówi „szef techniczny” przedsiębiorstwa, Antoni Trojan:

— Działalność rozpoczęliśmy w grudniu zeszłego roku. Najpierw nieformalnie, chcąc przede wszystkim wypróbować zakupiony sprzęt, „otrzaskać się” z nowocześniejszą techniką. Szybko złożyliśmy do Państwowej Inspekcji Radiowej podanie o pozwolenie na odbiór telewizji satelitarnej. W odpowiedzi dostaliśmy pismo łaskawie zezwalające nam na... zakup sprzętu, dopiero po skompletowaniu odpowiednich urządzeń mieliśmy się starać o zgodę na jego wykorzystanie. W końcu — po dwóch miesiącach — zgodę taką otrzymaliśmy, klub telewizji satelitarnej mógł przyjąć pierwszych zainteresowanych.

Na dobre zaczęliśmy od lutego bieżącego roku. Zastanawiając się nad organizacją prezentowania programów doszliśmy do wniosku, że tak drogi sprzęt nie może pozostawać bez opieki. Najlepiej, jeśli spotkania będą się odbywały raz w tygodniu, a programy nie będą wyświetlane na żywo, lecz przygotowane wcześniej na taśmach. Tę formę podparzyliśmy z telewizyjnego cyklu „Blżej świata”. Chcąc wrócić do pożytecznego zwyczaju odbywanych niegdyś w „Gwarku” spotkań czwartkowych — postanowiliśmy, że na seanse zapraszamy będziemy w czwartki, w godzinach od 17 do 21. Ogłoszenia o programie drukowałem przy pomocy komputera i rozlepiłem na tablicach ogłoszeń w zakładzie i biurówce.

Zanim po raz pierwszy przyjęliśmy gości, martwiliśmy się, że chętnych do oglądania nowinek ze świata nie pomieści klubowa sala. Pierwsze spotkanie i — rozczarowanie: nie będą wyświetlane na żywo, lecz przygotowane wcześniej na taśmach. W następne czwartki bywało różnie. Na przykład na dwa seanse, przygotowane specjalnie dla dzieci przed ich śnięciem, przyszło tyle maluchów, że na salę nie mogliśmy już wpuścić rodziców.

Myślę, że od bliższego kontaktu z telewizją satelitarną odstępca ludzi przede wszystkim bariera językowa. Na spotkania zapraszaliśmy więc tłumaczy języka angielskiego, którzy bezinteresownie, na żywo objaśniali komentarze programów. Inicjatywa jednak upadła, bo skoro przychodziło do klubu dziesięć — piętnaście osób, z czego połowa to młodzież z inter-

natu przyzakładowej szkoły, oczekujących przed wszystkim programów rozrywkowych, wideoklipów — tłumacze nie mieli dla kogo się wysilać. Dlatego wyświetlamy w przeważnie audycje służące rozrywce, a od września, po dwumiesięcznej wakuacyjnej przerwie — chcemy emitować amerykański program, nadający przez całą dobę muzykę z teledysków.

Nie wypalił też inny pomysł. Niektóre angielskie stacje telewizyjne emitują bardzo ciekawe programy popularnonaukowe. Myśląc, że zainteresują one przede wszystkim glinickich techników i inżynierów, zapelniliśmy tymi programami — odpowiednikami naszej „Sondy” — aż siedem taśm. Okazało się jednak, że techniczny język, jakim operowali angielscy lektorzy, jest tak trudny, że może sobie z nim poradzić tylko wyspecjalizowany tłumacz. Próbowaliśmy więc korzystać z pomocy zakładowego tłumacza, pani ta jednak nie mogła nam poświęcać zbyt wiele czasu.

Nagrywaliśmy audycje prezentujące sport motorowy, otwarte mistrzostwa Francji w piłce nożnej, alpejski puchar świata — z myślą, że ściganiemu sympatyków sportu. Nie wzbudziło to jednak większego zainteresowania, a na program z ciekawostkami żeglarskimi przyszła z zakładowego jacht-klubu... jedna osoba.

Zdarza się, że przyjeżdżających do „Glinika” zagranicznych gości (zwłaszcza z krajów socjalistycznych) zapraszamy do klubu, pokazując co ciekawsze programy. Na takich seansach największe zainteresowanie wzbudzają przeznaczane dla mężczyzn magazyny stacji RTL, których fragmenty pokazywane są w niedzielnych programach telewizyjnych. Nie mają one jednak nic wspólnego z pornografią. Zresztą

— wbrew obiegowym opiniom — żadna z trzydziestu dwu odbieranych przez nasz sprzęt stacji nie wyświetla pornografii. Oglądając od dłuższego czasu zachodnie programy mogą ocenić, że jakości tematów nie różni się wiele od polskich. Satelitarne stacje wyspecjalizowały się: dwie z nich np. nadają tylko sport, jedna emituje przez całą dobę informacje ze świata, są cztery programy wyświetlające wyłącznie filmy i recenzje o nich, są programy przeznaczone dla gospoń domowych, dzieci, itp.

Pomimo niewielkiego jak dotąd zainteresowania czwartkowymi spotkaniami — nie zniechęcamy się. Było nam przyjemnie, gdy do klubu przyszła brygada kowali z Fabryki, dziewięciu chłopów, by zobaczyć co to za nowinka ta telewizja satelitarna. Program, który specjalnie dla nich przygotowaliśmy — podobał się.

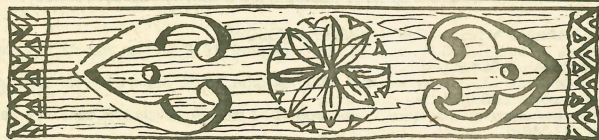
## Z ziemniakami krucho

Co roku, około połowy września, dział socjalny Fabryki organizował sprzedaż ziemniaków. 200 ton kupowano u prywatnych dostawców, kartofle były duże i smaczne, a dzięki temu, że unikano pośrednictwa GS i Spółdzielni Ogrodniczych — również tanie. Nawet w latach nieurodzaju udawało się sprowadzić odpowiednią ilość ziemniaków — na przykład z okolicy Chelma Lubelskiego.

W tym roku będzie inaczej. Wprowadzenie wolnego rynku płodów rolnych spowoduje, że zakup kartofli na zimę to inwestycja licząca się w budżecie domowym. Nie wiadomo też, czy będzie można

sprowadzić odpowiednią ilość tych warzyw; bieżący rok nie był dla nich pomyślny, stonka i nie najlepsza pogoda przełubiły plantacje w południowo-wschodniej Polsce. Ziemniaki najprawdopodobniej zostaną przywiezione z północy kraju, i to z dalszych województw, gdyż stałyby się dostawca z królestwa zapowiedział, że w tym roku nie można na niego liczyć, natomiast „ziemiaczane zagłębie” okolic Dębicy opanował swymi wpływami „Igiłopol”.

Dział socjalny apeluje do pracowników „Glinika”, by — o ile to możliwe — starali się zaopatrywać sami.



## Z historii fabryki

Początek zorganizowanej działalności młodzieżowej w „Gliniku” sięgają lat dwudziestych. Powstały wtedy orkiestra dęta oraz Robotniczy Klub Sportowy „Sila”, a w 1923 roku socjalistyczna organizacja młodzieżowa — Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Terenowe Koło TUR w Gliniku Mariampolskim, skupiające pracowników gorlickiej fabryki, należało do pierwszych w kraju. Po zjeździe Kół TUR w 1926 roku przyjęły one nazwę: Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

OM TUR organizowała życie kulturalne i sportowe, prowadziła działalność oświatowo-wychowawczą, propagowała wśród młodzieży robotniczej masowe czytelnictwo, broniła jej interesów ekonomicznych, występowała przeciwko niebezpieczeństwu wybuchu wojny, faszystowizmowi, klerikalizmowi. Młodzież zrzeszona w OM TUR uczestniczyła we wszystkich — organizowanych przez PPS — strajkach i demonstracjach.

Najbardziej intensywny i efektywny rozwój koła OM TUR w fabryce przypada na lata 1930 — 36. Wówczas to, wraz z powstałą w 1935 roku sekcją Czerwonego Harcerstwa, Koło skupiało 200 członków i tyleż samo sympatyków. Dysponowało własnym lokalem, noszącym nazwę Kasyna Robotniczego, salą teatralną na 300 osób, biblioteką, salą muzyczną, kinem, bufetem, kawiarnią, a ponadto własnym stadionem sportowym, boiskami do gry w piłkę nożną, siatkówkę i koszykówkę, kregielnią oraz szatnię.

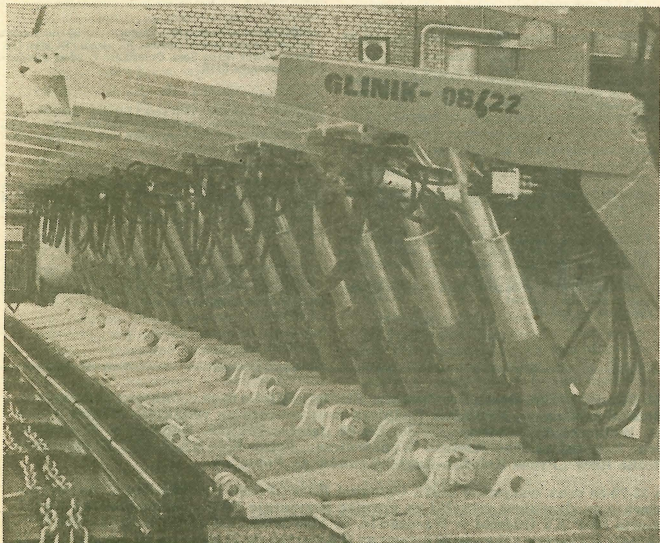
Urządzone przez OM TUR odczyty dotyczyły ważnych spraw życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego. Wygłaszali je często członkowie naczelnych

władz TUR i PPS, np. Józef Cyrankiewicz, Feliks Gros, Lucjan Motyka, Adam Ciołkosz, a z miejscowych działaczy: Marian Czuchnowski, Kazimierz Fryda, Tytus Grzywacz, Emil Franciszek Kolarzykowiec, Józef Michalus. Wystąpieniem powodem cieszyły się Szczęśliwym Bolesława Drobnera. Podczas jednego z jego odczytów interweniowała policja, jednakże 300 słuchaczy stało jej dzielny opór.

Do aktywistów okresu przedwojennego należeli między innymi: Józefa i Ludwik Cebulowie, Marcell Czyżykiewicz, Czesław Fryda, Czesław Fugiel, Edward Gorczyca, Stanisław Kurek, Stanisław Matelowski, Józef Michalus, Władysław Michalus, Paweł Niedermaier, Łukasz Nowacki, Stanisław i Hermina Olszańscy, Zofia Perhun, Paweł Rybczyk, Stanisław Szymański, Bolesław Moroz, Kazimierz Wilcezek, Helena Wąsik, Stefan Wąsik. Koło w „Gliniku” skupiało także towarzyszy z Gorlic, Zagorzań, Libuszy, Kobylanki, Stróżówki, Sokola, Wójtowej i Lipinek.

Podczas okupacji majątek OM TUR został skonfiskowany, a wielu działaczy aresztowano. Nigdy już nie powrócił z obozów zagłady: Józef Michalus, Franciszek i Emil Kolarzykowiec, Stefan Wąsik, Stanisław Wojtasiewicz.

Po wyzwoleniu centrum ruchu młodzieżowego zawiązało się ponownie w „Gliniku”. Zorganizowano pierwsze koło i Zarząd Powiatowy OM TUR. Reaktywowano działalność biblioteki, teatru, organizacji sportowej „Karpattia”, chóru i orkiestry. Duży nacisk położono na sprawy produkcyjne. Rozpoczął się młodzieżowy wysiłek pracy, utworzono brygady współwzrostnicze. Pierwszym przewodniczącym Zarządu Fabrycznego OM TUR był Władysław Kubowicz, a potem — aż do zjednoczenia ruchu młodzieżowego — Władysław Michalus, który następnie został przewodniczącym Zarządu Fabrycznego ZMP.



Fot. WŁADYSŁAW PRZYBYŁOWICZ



kiem. Miłe, przytulne, kameralne — zapewne rychło zyska sobie stałych przyjaciół i gości.

★

Od dawna bulwersuje mieszkańców ulicy Polonij wyciek z instalacji wodociągowej. Woda cieknie — podrażniając zapewne koszty jej „produkcji” przez Zakład Uzdatniania, a przy tym niszcząc piękny modrzewiowy las Górnyego Parku Zdrojowego, a także rozmywając drogę do tamtejszych posesji. Wielokrotne interwencje przypominały biblijne odsyłanie od Ananasa do Kajfasza i przynosiły efekty raczej krótkotrwałe.

— Teraz — zapewnia naczelnik — wyciek został zahamowany, ale o trwałej poprawie będzie można mówić dopiero po dokonaniu przeróbek konstrukcyjnych. MPGK, które niedawno przejęło pod swój zarząd szczaumickie wodociągi, nie wie w co najpierw ręce włożyć. Urządzenia zdewastowane i niewydolne, sieć działa „na słowo honoru”. Na przykład przedwzrostak w Szczawnicy 15 awarii. Na dobrą sprawę — należałoby wymienić całą sieć wodociągową.

Spore nadzieje pokłada naczelnik w działalności niedawno powstałej spółki wodno-skiełkowej. Spółka zrzessa 14 jednostek gospodarki uspołecznionej (są wśród nich sanatoria i Gminna Spółdzielnia). Wyreca MPGK w walce o fundusze, już zlecono budowę osadnika-odstojnika, w ramach rozbudowy Zakładu Uzdatniania Wody. Szejkę jej inż. Antoni Adamczyk — dyrektor sanatorium „Hutnik”, człowiek rzutki i energiczny, który nie wahał się podjąć — jak to określił naczelnik — zadania szalonego na dzisiejsze czasy.

# Optymizm przyczerniony

★

— Gdy obejmowałem funkcję naczelnika, byłem optymistą — zwierza się Roman TrojnarSKI — ale dziś, gdy głębiej wniknąłem w przedwzrostkowe zasady finansowania miejscowości uzdrowiskowych, do których należy Szczawnica — stałem się skrajnym pesymistą. Działalność gospodarza, przy bardzo skromnych dotacjach i nie do przyjęcia rozwiązaniach podatkowych, jest praktycznie niemożliwa. Do naszej miejskiej kasy wpłacają podatki jedynie GS i MPGK oraz „prywatniarze”. Dlatego zresztą jesteśmy zainteresowani wypuszczaniem na teren Szczawnicy prywatnych rzemieślników, biur turystycznych czy handlu. Jednostki uspołecznione, jak „Gromada”, „Wawel-Turysta”, państwowe przedsiębiorstwa — właściciele sanatoriów i domów wczasowych nie boją ani grosza, jeśli nie mają ochoty. A zarywają nie mają, bo rady zakładowe w Katowicach, Warszawie czy Krakowie nie widzą w tym swego interesu. Pilnie konieczna jest mądra ustawa regulująca w sposób kompleksowy status miejscowości uzdrowiskowych, dająca lokalnym władzom prawo egzekwowania świadczeń od wszystkich jednostek gospodarczych i instytucji funkcjonujących na podległym tej władzy terenie oraz zobowiązująca te jednostki do partycypowania w kosztach utrzymania miejscowości uzdrowiskowych. Trzeba stworzyć takie przepisy finansowe, które jednoznacznie i prosto opodatkowałyby działalność sanatoriów, domów wczasowych, turystyki

ki — na przykład od posiadanych środków trwałych. Albo — konieczne jest rzeczywiste centralne dotowanie uzdrowisk jako dobra ogólnonarodowego. Bez szybkich, radykalnych rozwiązań nie będziemy mieli za co utrzymać czystości ani zadbać o ochronę środowiska, łożny na szkoły, na kulturę itp.

★

**Leszek Dziedzina** — przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej (a zarazem dyrektor sanatorium „Budowlani”) również dość pesymistycznie patrzy na sytuację Szczawnicy. — Budżet miasta jest śmiesznie mały; tegoroczny prawie nie różni się od ubiegłorocznego i wynosi 153 miliony złotych. O weryfikacji — mimo galopującej inflacji — nie słychać. A wystarczy powiedzieć, że modernizacja jednej ul. Ogrodowej kosztowała 50 milionów (planowano — 30 milionów), i jedynie 50 dlatego, że zdążyliśmy zapłacić w pierwszym półroczu. Fundusze na osiatę już wyczerpanymi, teraz bierzemy z nadwyżki budżetowej. Jak długo? Czekamy więc niecierpliwie na mądre prawo, które pozwoli takim miejscowościom jak Szczawnica żyć z tego, co jest ich głównym bogactwem i ich funkcją: z lecznictwa uzdrowiskowego, wczasów, turystyki.

Kto dziś najbardziej zaniedbuje zadanie w Szczawnicy? Ci, których zadaniem jest leczenie — górnych dróg oddechowych. Zimą — zdaniem Leszka Dziedziny — powinno się chyba zabronić przy-

jeżdżania kuracjuszy do Szczawnicy, dopóki nie zostanie tu wprowadzone ogrzewanie gazowe.

— Niektórzy sądzą, że zarabiamy na swym statusie uzdrowiska. Bierzymy przecież takse klimatyczną, pobieramy świadczenia na Wojewódzki Fundusz Rozwoju. A tymczasem taksa przynosi miastu... 5 milionów złotych rocznie, co wystarczy na zalatanie paru dziur w asfalcie lub opłacenie przez tydzień wywozu śmieci. Podatek „turystyczny” daje dochód minimalny, bo kuracjusze z nas kupują niewiele. Gminy wiejskie żyją z podatków od rolnictwa, ośrodki przemysłowe — od fabryk. U nas rolnictwo ma charakter szarykowsky, przemysłowi świadczenia się nie wprowadza, by chronicznie środowisko naturalne. Zakłady lecznictwa uzdrowiskowego są zwolnione nawet z podatku gruntowego. Sanatoria „Dzwonkowska”, „Papiernik” czy „Navigator” zgodziły się na pewne dobrowolne świadczenia, ale już PPU nie daje, bo rada pracownicza postawiła veto! Na czym więc mamy zarabiać? Władze muszą mieć dochód z tego czym dysponują. My dysponujemy warunkami klimatycznymi i balneologicznymi. Ale prawie nic z tego nie mamy.

★

Obraz Szczywnicy w połowie roku 1989 nie jest zbyt optymistyczny. Na trudności „normalne” dziś dla całej Polski — nakładają się uwarunkowania egzystencji miejscowości uzdrowiskowej. Czy rychło docekalmy się nowych, mądrych rozwiązań ustawowych, pozwalających polskiem uzdrowiskom najpierw zrekonstruować zdewastowaną bazę materialną i przyrodę, a następnie rozbiudować je i chronić z myślą o potrzebach zarówno „gości” — kuracjuszy, wczasowiczów, turystów — jak i miejscowej ludności?

ELŻBIETA GLINKA



## PRZETARGI

Spółdzielnia Usług Rolniczych w Nawojowej ogłasza, że w DRODZE PRZETARGU NIEOGROANICZONEGO sprzedaje następujące maszyny i sprzęt rolniczy:

### ZAKŁAD USŁUG MECHANIZACYJNYCH NAWOJOWA

1. Ciągnik URSUS C-360 Nr. rej. NST 880F rok prod. 1978, stopień zużycia 10%, cena wywoławcza 3.054.930 zł.
2. Ciągnik URSUS C-360 Nr. rej. NST 863F rok prod. 1975, stopień zużycia 20%, cena wywoławcza 2.733. 754 zł.
3. Siewnik zawieszany „Poznaniak 2”, rok prod. 1977, stopień zużycia 37%, cena wywoławcza 152.066 zł.
4. Kosiarka rotacyjna Z-036, rok prod. 1979, nr. fab. 10684, stopień zużycia 4%, cena wywoławcza 350.031 zł.
5. Kosiarka rotacyjna Z-036, rok prod. 1979, nr. fab. 10659, stopień zużycia 4%, cena wywoławcza 350.031 zł.

### ZAKŁAD USŁUG MECHANIZACYJNYCH ŁĄBOWA

1. Ciągnik URSUS C-360 Nr. rej. NST 571F rok prod. 1976, stopień zużycia 18%, cena wywoławcza 2.645.853 zł.
2. Ciągnik URSUS C-360 Nr. rej. NST 557F rok prod. 1981, stopień zużycia 30%, cena wywoławcza 2.583.660 zł.

Wymienione pojazdy i maszyny można oglądać codziennie w godzinach od 8<sup>00</sup> — 14<sup>00</sup>. Przetarg odbędzie się w dniu 19 września o godz. 10<sup>00</sup> w lokalu Spółdzielni Usług Rolniczych w Nawojowej.

Wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej do godz. 10<sup>00</sup> w dniu przetargu w kasie Spółdzielni.

Zastrzegają się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn.

Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej sprzedaje w DRODZE PRZETARGU:

- |                                     |                 |                  |
|-------------------------------------|-----------------|------------------|
| 1. Przyczepa skrzyniowa jednoosiowa | cena wywoławcza | 100.000 zł. —    |
| 2. Przyczepa jednoosiowa bagażowa   | cena wywoławcza | 375.000 zł. —    |
| 3. Samochód Robur LO 3000           | cena wywoławcza | 575.000 zł. —    |
| 4. Samochód Robur LO 3000           | cena wywoławcza | 692.400 zł. —    |
| 5. Samochód Nysa 522                | cena wywoławcza | 1.200.000 zł. —  |
| 6. Samochód Star 268                | cena wywoławcza | 10.000.000 zł. — |

Przetarg odbędzie się w dniu 1989.09.26 o godz 10-tej w Biurze Spółdzielni. Pojazdy można oglądać w bazie Transportu w dni robocze od godz 8-mej do 15-tej.

Wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej w przeddzień przetargu.

W razie nie dojsia do skutku sprzedaży w podanym terminie drugi przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 12-tej. —

## Fabryka Wyrobów Metalowych w Osowcu zatrudni od zaraz na korzystnych warunkach:

- **TECHNOLOGÓW** z wykształceniem wyższym lub średnim w specjalności przeróbki plastycznej lub obróbki skrawaniem
- **FREZERÓW** do Wydziału narzędziowego, z wykształceniem średnim lub zawodowym. Praca na nowoczesnych obrabiarkach, sterowanych numerycznie,
- **TOKARZY I ŚLUSARZY REMONTOWYCH** z wykształceniem zawodowym
- **PRACOWNIKÓW NIEWYKwalifikowanych** do pracy w produkcji podstawowej — branży metalowej. Istnieje możliwość otrzymania mieszkania.

FORD Sierra benzynowy, 1983 — sprzedam. Zakopane, tel: 45-51.

KUPIE dom jedno lub dwurodzinny, komfortowy, wyposażony we wszystkie wygody, najchętniej w atrakcyjnych miejscowościach uzdrowiskowych. 44-101 Gliwice 1, skr. pocztowa 172 lub telefon 31-47-92.

STAL zbrojenlowa 4 10 lub 4 12 kupię. Zakopane, tel. 52-73.

PRZYJMIE pomoc domową z zakwaterowaniem, na dobrych warunkach. Zakopane, tel. 57-22, po godz. 18

ZATRUDNIE reprezentacyjną dziewczynę do pracy biurowej z bardzo dobrym wynagrodzeniem. Miłe widzenie urodzone w wrześniu lub październiku Rok urodzenia 1970. Również zatrudni osobę posiadającą umiejętności plastyczne-graficzne (reklama). Zakopane, tel. 866-78.

JEŚLI chcesz wybudować o 40 procent taniej dom swoich marzeń — stosuj pustaki gipsowe RC patent PRL atest ITB. Marek Pawlik Nowy Sącz, Dunajcowa 6, adres domowy: Franciszkańska 8/10.

KOMIS — Zakopane Tetmajera 17 kupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty.

TELEGRAM — Zakopane zapraszamy na pierwszą w Polsce bezpłatną giełdę samochodów osobowych czynną od poniedziałku do soboty w godzinach od 9 — 17. Zakopane, Tetmajera (obok komis) tel: 666-78. D-52262

FIRMA „Trans-Wien” zapewnia najtańszy i najszybszy przejazd na trasie Kraków-Wiedeń-Kraków. Informacje: Kraków, tel. 12-84-53, 12-14-37. Libiąż (woj. katowickie) tel. 77-31. Wiedeń, tel. 48-10-834. T-80406

**DUNAJEC** — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Poddiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, telex: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiśna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiśna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę z zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratory indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartaly bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.



PIĄTEK — 1 IX

PROGRAM I

- 8.45 „Domator”
- 9.30 DT — wiadomości
- 9.40 DT — dodatek gospodarczy
- 10.00 „Zolnierze Westerplatte” — film dok.
- 11.00 Manifestacja patriotyczna na Westerplatte
- 15.10 „W szkole i w domu”
- 16.20 Program dnia i DT
- 16.25 „Zielone teleferii”
- 16.45 Kino teleferii
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Czerń i biel” — film dok.
- 18.05 Studio sport
- 18.45 Dobranoc
- 18.55 Dzień modlitwy o pokój
- 20.45 Dziennik
- 21.15 „1 września 1939 — Warszawa” koncert poświęcony 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej
- 22.45 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Gra złudzeń”
- 19.30 „Dookoła świata”
- 20.00 „Piątek
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „A lato było piękne tego roku”
- 22.50 Komentarz dnia

SOBOTA — 2 IX

PROGRAM I

- 7.55 Program dnia
- 8.00 „Tydzień na działce”
- 8.20 „Na zdrowie”
- 8.40 Program publicystyczny
- 9.40 Kino teleferii — „Siedem zwycięż” (7 ost.)
- 10.30 DT — wiadomości
- 10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
- 11.25 „Od Wschowy do Belwederu”
- 11.55 Wędrowki dalekie i bliskie
- 12.35 „Szulwiecka rewia”
- 13.15 Telewizyjny teatr prozy — Zofia Nałkowska — „O tożsamość twórcy”
- 14.10 „Akademia filmowa”
- 14.35 „Smak życia”
- 15.20 Komedie, komedie, komedie... „Pan Anatol szuka miliona”
- 16.35 Losowanie Dużego Lotka
- 16.45 „Premie i premiery”
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Portrety
- 18.00 „Butik”
- 18.30 Dobranoc
- 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
- 19.30 Dziennik
- 20.05 Akademia filmowa — „Lawrence z Arabii” — film fab. prod. angielskiej

- 23.20 Teatr telewizyjny — Jarosław Hašek „Spotkania ze Szwajkimi” (7)
- 23.40 Telewizyjny przegląd sportowy
- 24.00 Telegazeta
- 0.05 Kino sensacji — „Inspektor Taggart” (1) — „Wampir z Glasgow”
- 0.55 Zakończenie programu

PROGRAM II

- 10.00 „Tele-9”
- 14.00 „W świecie ciszy”
- 14.25 Telewizyjny koncert żywczeń
- 14.55 Program dnia
- 15.00 „Zwierzęta świata”
- 15.25 „Spektrum”
- 15.40 „Orly”
- 16.05 Meandry architektury”
- 16.25 „Trzy otarte” — film dok
- 17.00 „Legenda filmu” — Gregory Peck
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Wielka gra” — teleturniej
- 19.30 „Alfa i omega”
- 20.00 Spotkanie z Andrzejem Kurylewiczem i Wandą Warską
- 21.00 Studio sport
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Studio sport
- 22.25 „Dzieciwicy gniewnych ludzi”
- 23.20 „Chateaubillon” (17)
- 0.15 Komentarz dnia

NIEDZIELA — 3 IX

PROGRAM I

- 7.20 „Notowania”
- 7.45 „Po gospodarstwu”
- 8.15 „Tydzień”
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Kino teleferii
- 10.30 DT — wiadomości
- 10.35 „Ludy ziemi” (7)
- 11.35 „Szulwiecka rewia”
- 12.15 Telewizyjny koncert żywczeń
- 13.00 „Marek Sierocki zaprasza”
- 13.30 Teatr dla dzieci — Alan Alexander Milne „Dawno, dawno temu” cz. 1
- 14.35 Fotomagazyn
- 14.55 „Pieprz i wanilia”
- 15.40 „Panna dziewczyczka” (16)
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Tupecik, czyli nasze męstwo”
- 18.40 „Antena”
- 19.00 Wieczorynka
- 19.30 Dziennik
- 20.05 „Klan” (I) — serial kryminalny prod. francuskiej
- 21.00 „7 dni — świat”
- 21.30 Sportowa niedziela
- 22.10 Premiery po latach — „Między życiem a teorią” — film dok.
- 22.45 Telegazeta



PROGRAM II

- 10.45 Przegląd Tygodnia (dla niesłyszących)
- 10.50 Film dla niesłyszących — „Klan” (1)
- 11.45 „Spojrzenie na Wrzesień”
- 13.00 Lokalny koncert żywczeń
- 13.25 „Jutro poniedziałek”
- 13.55 Powitanie
- 14.00 Polska Kronika Filmowa
- 14.10 „100 pytań do...”
- 14.50 „Aktualności kulturalne”
- 15.05 „Polacy” — film dok.
- 15.55 „Być tutaj”
- 16.10 „Kino-oko”
- 16.45 Studio sport
- 17.30 „Bliziej świata”
- 19.00 „Wratislavia Cantans”
- 20.00 Studio sport
- 20.45 „Wrzesień '39”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Wojna i pamięć” (I) — serial prod. USA
- 23.10 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK — 4 IX

PROGRAM I

- 16.20 Program dnia i DT
- 16.25 „Wakacyjne wspomnienia”
- 16.45 „Banda Rudego Pajaka” (I) serial prod. pol.
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Pozegnanie wakacji”
- 18.30 „Laboratorium”
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 „Gorące linie”
- 19.30 Dziennik
- 20.05 Teatr telewizyjny — Adolf Nowaczyński „Cyganka warszawska”
- 22.15 Kroniki PAT
- 23.30 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 Antena „Dwójki”
- 17.45 „Ojczyzna — polszczyzna”
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Czarno na białym”
- 19.00 „Jerzy Jarosik i jego goście”
- 19.30 „Dni Korei”
- 20.00 Teletrans
- 20.30 „Osądźmy sami”
- 21.15 „Rozmowy o cierpieniu”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Biografie „Gombrowicz, albo uwiedzenie”
- 23.30 „Wratislavia Cantans '89”
- 24.5 Komentarz dnia

WTOREK — 5 IX

PROGRAM I

- 8.35 „Domator”
- 9.15 DT — wiadomości
- 9.25 „Gdańsk '39” (4 ost.)
- 15.45 Program dnia i DT
- 15.50 „Wspólna Polska, wspólne sprawy”
- 16.10 „Wakacyjne wspomnienia”
- 16.30 „Banda Rudego Pajaka” (2)
- 17.00 Studio sport — mecz piłki nożnej Polska-Grecja ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
- 18.50 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 „S” — jak spółka
- 19.30 Dziennik
- 20.05 „Gdańsk '39” (4 ost.)
- 21.05 Kroniki PAT
- 21.20 Program publicystyczny
- 21.50 Program rozrywkowy
- 22.20 Studio „Solidarność”
- 23.05 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 „Polskie ogrody zoologiczne”
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Komedia po polsku”
- 19.30 „Blisko nieba”
- 20.00 „Za chwilę dalszy ciąg programu”
- 21.00 „W kręgu sztuki”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „W potrzasku” — film fab. prod. CSRS
- 23.15 Komentarz dnia

ŚRODA — 6 IX

PROGRAM I

- 8.35 „Domator”
- 9.15 DT — wiadomości
- 9.25 „Gaski” — film fabularny
- 16.15 Program dnia i DT
- 16.20 Losowanie Express i Super Lotka
- 16.25 „Wakacyjne wspomnienia”
- 16.45 „Banda Rudego Pajaka” (3)
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Spojrzenia”
- 18.00 Telewizyjny Informator Wydawniczy
- 18.20 „Dawniej niż wczoraj”
- 18.50 „10 minut”

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 „A,b,c” — teleturniej
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Cnotliwa Mungaja” — czyli wojna pomarańczowa” — rep. z karnawału w Ivrei
- 18.55 „O tym się mówi nie tylko w Moskwie”
- 19.30 „Brazylia”
- 20.00 „Akcja OPEN” — film fab. prod. francuskiej
- 21.00 „Ze wszystkich stron”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.50 „W labiryncie” (36)
- 22.15 „Telewizja nocą”
- 23.00 Komentarz dnia

CZWARTEK — 7 IX

PROGRAM I

- 8.35 „Domator”
- 9.15 DT — wiadomości
- 9.25 „Policjanci z Miami”
- 16.00 Program dnia i DT
- 16.05 „Polskie zdrowie”
- 16.25 „Wakacyjne wspomnienia „Banda Rudego Pajaka” (4)
- 16.45 Teleexpress
- 17.15 „Patrol”
- 17.30 Sonda
- 18.30 Program publicystyczny
- 18.50 „10 minut”
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 „Teraz”
- 19.30 Dziennik
- 20.05 „Policjanci z Miami” — „Jadro clemności”
- 20.55 Kroniki PAT
- 21.10 „Pegaz”
- 22.00 „Wokół Sopotu”
- 23.00 DT — wiadomości

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 „Skarby kultury polskiej”
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Strachy na lachy”
- 19.00 Magazyn „102”
- 19.30 „Świat roślin” (10)
- 20.00 „Wratislavia Cantans '89”
- 21.00 „Express reporterów”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Studio teatralne „dwójki” — Henryk Dederko
- 21.50 „Bruno — autobiografia pośmiertna Brunona nauczyciela rysunków z miasteczka Drohobycza”
- 23.00 Komentarz dnia

NIE POMOGŁY ORDERY

Część pracowników odnosi się sceptycznie do sądowej ochrony ich praw. Wola raczej załatwiać swe sprawy z pracodawcami. Inni, pewni swej „nieżytkalności”, usiłują nagiąć prawo do swojej optyki.

Jerzy B. otrzymał tzw. wypowiedzenie zmieniające. Od 1 stycznia zakład zaproponował mu stanowisko samodzielnie referenta do spraw zaopatrzenia. Zdaniem pracodawcy niewłaściwie wypełniał swoje obowiązki. Nie troszczył się o powierzzone mu miemie, lecz coraz częściej pozwalał sobie na „lewe” interesy.

Pracownik od razu wniósł pozew do sądu. W przedsięwzięciu pracował od 1960 roku. Przez ostatnie 13 lat zajmował stanowisko mistrza wydziału mechanicznego. Otrzymał wiele nagród, dyplomów, wyróżnień i odznaczeń. Pełnił też szereg zaszczytnych funkcji społecznych i politycznych. Był przekonany, że po blisko trzydziestu latach pracy nic złego spotkać go nie może.

— Jerzy B. był od pewnego czasu pod obserwacją — powiedział przed sądem zastępca dyrektora. — Istniało podejrzenie, że wykorzystywał swoje stanowisko do celów prywatnych. Dobrał m.in. części do maszyn, które zakładał wcześniej odsprzedał prywatnemu użytkownikom. Robił to, rzecz jasna, bez zgody swych przełożonych, wyłącznie dla pieniędzy. 12 września główny mechanik złożył oświadczenie, w którym stwierdził, że Jerzy B. wykonał niedawno głowice do obróbki drewna. Została wywieziona z zakładu, zanim podjęto odpowiednie kroki. Wobec winnego nie wyciągnięto wówczas żadnych konsekwencji.

Kilka dni później sytuacja uległa diametralnej zmianie. Jerzy B. podjął bowiem próbę wywiezienia z zakładu szściu głowic do ferezarki oraz dwóch zacisków stolarskich. Części te znajdowały się na skrzyni prywatnego „Stara”. Wóz został zatrzymany na jeźdźcu. Nie ujęte w dokumentach głowice i zaciski trafiły do rąk strażników.

Jerzy B. tak oto próbował tłumaczyć swoje postępowanie:

— 20 września sprzedałem prywatnemu użytkownikowi dwie maszyny. Ponieważ nie był zdecydowany dokonać transakcji i przez pewien czas się wahał, zaproponowałem, że „dodać” mu kilka części zapasowych. Poskutkowało. Nie chciałem uszczuplić majątku przedsiębiorstwa. Przeciwnie — to jedynie dzięki tym „dodatkom” poszły aż dwie maszyny.

Jerzy B. — mówi zastępca dyrektora — działał na własną rękę. Części zapasowe wziął z magazynu, który mu nie podlegał. Podobne gesty rozrzutności zdarzały mu się wcześniej. Był nawet karany dyscyplinarnie. Jak widział, nie wziął sobie tego do serca, skoro dopuszczał się coraz poważniejszych wykroczeń.

30 listopada zapadł wyrok przed sądem I instancji. Temida nie dała się przekonać argumentom pracownika. Uznała jego postępek za wysoco naganny. Jako mistrz oddziału mechaniczno-reмонтowego miał obowiązek troski o powierzzone mu miemie. Tymczasem dopuszczał się licznych sprzeniewieżeń. Nic dziwnego, że pracodawca utracił do niego zaufanie. Mógł nawet zwolnić go z pracy w trybie dyscyplinarnym. Nie uczynił tego jedynie przez wzgląd na jego długoletni

staż pracy. Wypowiedzenie zmieniające zostało dokonane zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Wyrok nie ostudził gorącej głowy Jerzego B. Nadal był przekonany, że wróci do pracy na poprzednio zajmowane stanowisko. Wniósł rewizję do sądu wojewódzkiego i czekał na pozytywny wyrok.

Sąd II instancji utrzymał w mocy poprzednie orzeczenie. Pracownik usiłował dokonać kradzieży. Dalsze zatrudnienie go na stanowisku związanym z materiałem odpowiedzialnością byłoby po prostu nie na miejscu. Zakład słusznie zdecydował się przenieść go do innej pracy.

Wypowiedzenie zmieniające upłynęło 31 grudnia. Do tego dnia Jerzy B. miał czas na podjęcie decyzji, czy przyjmie propozycję nowego miejsca pracy. Jak wiadomo, nie skorzystał z danej mu szansy. Był tak pewny swego przed sądem, że nawet nie przyszło mu na myśl, że może wszystko stracić. Drugi wyrok zapadł dopiero na początku lutego. Wtedy okazało się, że nie tylko przegrał w sądzie, ale że w ogóle stracił pracę.

Cóż można do tego dodać? Chyba tylko tę jedną refleksję: zanim podejmiesz walkę, oceń swoje siły.

REMIGIUSZ CZYŃSKI



## Mistrz stenografii

Za najlepsze maszynistki i stenografistki uważa się powszechnie kobiety. Tymczasem na zorganizowanych w Lucernie (Szwajcaria) mistrzostwach świata w tej specjalności zwyciężył mężczyzna — stenograf włoskiego parlamentu, Salvatore Brucolieri. Zdołał on w ciągu jednej minuty zapisać bez najmniejszego błędu 180 słów. Pobił w ten sposób o siedem wyrazów dotychczasowy rekord świata. Dyktować w takim tempie mogła już chyba jednak tylko kobieta.

## Przeciw palaczom

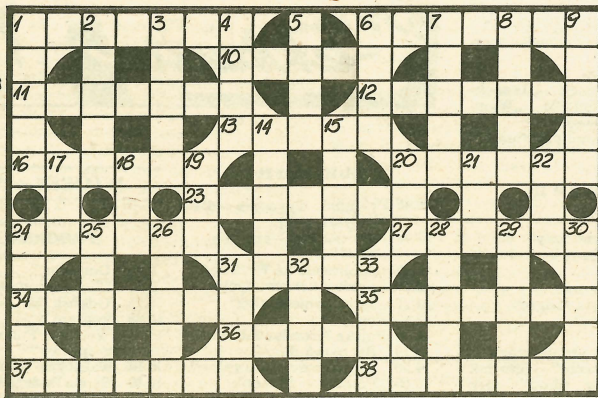
Mario Cuomo, burmistrz Nowego Jorku, uległ w końcu presji przeciwników nikotyny i zaaprobował rygorystyczne przepisy ograniczające palenie papierosów na terenie miasta i stanu. Zarządzenia będą wprowadzane w życie w okresie między styczniem a kwietniem przyszłego roku. Obejmują one m.in. całkowity zakaz palenia w audytoriach wyższych uczelni i szkół, w windach, sklepach i taksówkach, jeśli podróżuje nimi więcej niż jeden klient. Z kolei w szpitalach, bankach, bibliotekach, restauracjach, poczekalniach, krytych obiektach sportowych palić będzie można jedynie w specjalnie do tego wyznaczonych miejscach.

## Zapomniana tradycja

Jeszcze na początku naszego stulecia w Bostonie obowiązywało prawo, w myśl którego każdego osobnika zatrzymanego na ulicy w stanie zamroczenia alkoholowego policjant mógł przywiązać do pnia drzewa rosnącego w centrum miasta. Publikacja miała atrakcję, a delikwent mógł do syta najęść się wstępu. Nie wiadomo, dlaczego przepis został zniesiony; jedni twierdzą, że z powodów humanitarnych, inni są zdania, że jego skuteczność była minimalna — kto miał wypić i tak wypił.

## Medyczny weteran

Hiszpan Gallo Lopez jest bez wątpienia najstarszym lekarzem świata. Przed 7 laty uznał, że już dość długo praktykował i powinien poświęcić się teorii, zabrał się więc za pisanie naukowych traktatów dotyczących oftalmologii. Pan Lopez ma obecnie 110 lat. Pytany o sposób na długowieczność i tak niebawoma kondycję intelektualną odpark: — *Nigdy nie przestrzegalem żadnej diety, prowadziłem życie w miarę spokojne i starałem się unikać stresów.*



## KRZYŻÓWKA NR 35

**POZIOMO:** 1) bogactwo naturalne Chile, 6) raj ziemski, 10) żłobina, 11) rodzaj żywej gleby, 12) wygrywa hejnał z Wieży Mariackiej, 13) gatunek jabłek, 16) kobieta lekkich obyczajów, 20) port w Norwegii, znany z walk w II wojnie światowej, 23) egzotyczny huragan, 24) miasto koło Szczecina z Zakładami Azotowymi, 27) zachcianka, 31) tarcza Zeusa, 34) sztuczne uśpienie przed operacją, 35) wada, mankament, 36) „kiszycowce” pieczywo, 37) noma, 38) krój czcionek łacińskich.

**PIONOWO:** 1) wioślarz zwany szlakowym, 2) ... Zdrój, uzdrowisko w Kotlinie Kłodzkiej, 3) taniec albo wieczko siołka, 4) mocny napój alkoholowy, 5) człowiek sprytny, cwaniak, 6) żywiol biurokraty, 7) samica losia, 8) mocne ścięcie piłki w tenisie, 9) ludowy poeta w krajach muzułmańskiego Wschodu, 14) rejon, rewir, 15) staroskandynawski śpiewak i poeta, 17) narząd wzroku, 18) pas przepasujący kimono, 19) grecka bogini nieszczęścia, 20) wolny, nie omaszowany koniec rei, 21) drapieżna ryba karpioвата, boleń, 22) w marcowe zginął Cezar, 24) gorący napój alkoholowy, 25) bardzo wolne tempo w muzyce, 26) duża wieś gminna nad Prosną w woj. kaliskim, 28) promieniotwórczy chlorowec, 29) założyciel dynastii Rurykowiczów, 30) podziałka, 31) angielski tytuł feudalny, niższy od markiza, 32) ozdobny krzew różowaty, 33) wykładowca sala uniwersytecka.

„STANKOS”

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8 września br.

## Rozwiązanie krzyżówki nr 33

**POZIOMO:** 1) postępek, 3) stepka, 9) rura, 10) kurcze, 11) sprzęt, 12) gama, 15) Sarawak, 18) mączka, 19) rap, 21) czołno, 22) ekrazyt, 26) nerw, 28) wotywa, 29) aspekt, 30) wódr, 31) Zawrat, 32) chałat.

**PIONOWO:** 1) pokusa 2) przeza, 3) pręga, 4) prym, 6) tapicer, 7) tęczka, 8) auto, 13) akron, 14) amper, 16) roz-

staw, 17) walcówka, 20) statut, 23) kwarc, 24) ampla, 25) kwiz, 27) Eris.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 33, w wyniku losowania nagrody otrzymują: Helena Gal z Czarnego Dunajca i Henryk Drożdż z Jodłownika.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

## HOROSKOP

**BARAN:** ostrzeżenia przyjmuj poważnie, wcale nie są tylko zwykłym straszaniem — jeśli potrafisz się znaleźć w trudnej sytuacji, jeśli będziesz uczciwy, nie powinno być większych kłopotów.

**BYK:** efekty swoich zabiegów już niedługo będziesz się mógł cieszyć, ale niech cię to nie wbiaja w dumę — lepiej rozejrzyj się wokół siebie, są osoby, którymi powinienes się zainteresować.

**BLIŹNIĘTA:** wszystko zapowiada się dobrze, nie przejmuj się drobnymi kłopotami, będziesz dumny z siebie — możesz spokojnie patrzeć w przyszłość.

**RAK:** dużo zyskasz, będziesz jednak musiał też coś poświęcić, nie oszczędzaj, co ci się na razie nie opłaci — pociesz kogoś bliskiego, twoje dobre słowo jest mu potrzebne.

**LEW:** nie będzie to spokojny okres, burze wewnętrzne, rozterki, niepokojące, ważne decyzje — na coś musisz się zdecydować i konsekwentnie do tego dążyć — inaczej się rozproszysz.

**PANNA:** jeszcze trochę poczekać, nie bądź niecierpliw, wszystko możesz zaprzęścić nieprzemysłanymi krokami — trochę krytycyzmu wobec własnej osoby bardzo ci się przyda.

**WAGA:** jak nigdy będziesz musiał kontrolować własne reakcje, nie daj się wciągnąć w nerwową wymianę zdań, w emocjonalny pojedynek — i szybko zapomnij o całym incydencie, nie warto psuć własnego nastroju.

**SKORPION:** uważaj, żebyś sam sobie nie narobił kłopotów, może się zdarzyć, że nie będziesz potrafił się bronić — popatrz spokojnie na sytuację, spróbuj na nią spojrzeć z zupełnie innej strony.

**STRZELEC:** ryzyko duże, ale zyski też mogą być dla ciebie bardzo cenne, wszystko wskazuje na to, że powinienes się zdecydować na zasadnicze posunięcia — nie zapominaj tylko o innych.

**KOZIOROŻEC:** już teraz powinienes pomyśleć o swoich dalszych losach, decyzje podjęte dziś mogą ułatwić ci dogadanie się z ludźmi, którzy mają w twojej sprawie coś do powiedzenia — stawiaj twardo swoje warunki, nie bądź fałszywie skromny.

**WODNIK:** doskonała okazja, żeby pokazać siebie z jak najlepszej strony, zrób wszystko, by wypaść jak najlepiej — nie wiesz jeszcze, jaki to będzie miało wpływ na twoją dalszą karierę.

**RYBY:** dużo stracisz, jeśli nie będziesz podtrzymywał starych znajomości, nie zaniechuj więc byłych przyjaciół — bądź dyskretny i nie dawaj do zrozumienia, że nic się przed tobą nie ukryje.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (117)

## Pamiętnik sądeczanek

Zjechało się dużo osób z różnych miast, delegaci z Krakowa i Lwowa, przywódcy z dalekich miejscowości galicyskich. Walek z kolejarzami od Uryżyny dekorował salę, wykonał na płótnie napisy o treści rewolucyjnej, lokował przyjezdnych na noclegach w domach kolejarzów. U nas nocowało dwóch kolejarzy z Gorlic, paru wetknął do sąsiadów. Joachim nic nie mówił i przyjął ich ze staropolską gościnnością. Gorzałki nie pili, spróbowali wina z porzeczek i czernicy.

Obrazy rozpoczęły się w sobotę. Walek od świtu biegał po domach i ścigał przyjezdnych. Odswieżenie ubrane, przejęte, ledwo wypił kawę, a już poprowadził swą gromadkę do warsztatów. Stefanek niósł hasła, które mieli zawiesić na budynku kolejowym. Joachimowi nie podobało się to, że małego chodoka mieszają w socjalizm i odebrał wnukowi płótno, przekazując je Florianowi, kolejarzowi mieszkającemu

mu u Uryżyny. Nawiasem mówiąc, Florian często u nas bywa i jest w pewnym sensie naszym bliskim, bo ciągle zostaje na kolacji. Patrzy przy tym na Honorę i razem idą do domu. Coś mi się zdaje, że przypadła mu do gustu. Po południu, po obradach i obiedzie, przygotowanym przez żony kolejarzy z kolonii, goście zjedli kolację, liczącą już ponad 150 domów, i wzięli udział w wieczorku śpiewno-muzycznym w sali warsztatowej. Popisywała się kapela kolejowa, młodzież deklamowała wiersze. Walek grał solo na mandolinie.

Ach, gdyby była Prakseśda, na pewno nie odmówiłaby swego głosu. Już rok minął od jej wyjazdu i coraz bardziej odczuwam brak córki.

W niedzielę też obradowali i po południu zaczęli się rozjeżdżać. Walek został na stacji do ostatniego pociągu, odprowadzał każdą grupę. Ciekawa jest, jakie skutki przyniesie to spotkanie?

Październik 1895 r.

Wiedziałam dziś profesora Jana Dworzakińskiego. Widać po nim przeżył długotrwałą chorobę, zmierzniał, przyciemniał się. Szedł ulicą Długosza z nowym profesorem, Janem Wilkoszem, który przybył do Nowego Sącza na miejsce zmarłego profesora, Michała Sekowskiego, z gimnazjum św. Anny w Krakowie. Pan Wilkosz uczył łaciny, polskiego i nadobowiązkowo historii kraju rodzinnego. Wiadomości te znoszą nam młodzi Miechowci, którzy polubili Kazia i przakazują mu szkolne nowiny. W styczniu, gdy młodzież gimnazjalna wraz z gronem profesorskim urządziła obchód na cześć Adama Mickiewicza, starszy Miech recytował na pamięć, bez zająknięcia, długi poemat wiersza. Dla mnie to nie dziwota, bo Antos do dziś zna na pamięć „Konrada Wallenroda”; w każdym razie chwalebne to dla syna Bronki.

Przeszłam przez Planty na ulicę Jagiellońską i obejrzałam dokładnie realność pana burmistrza Lucjana Lipińskiego. Ładny, okazały dom, wyróżnia się między sąsiednimi. Obok kamienica z nowym lokalem żydowskim „Imperial”, o który sporo szumu w mieście. Kręcił się tu dużo pijaków, rozlegała wrzaski, widać gorszące sceny. Jak wytrzymuje to burmistrz? Ostatnio coraz częściej słychać głos niezadowolonych z jego rządów. Niektórym nie podoba się usytuowanie nowego ratusza na skroku Rynku, co ponoć speł widok.

Inni zarzucają burmistrzowi surowe i bezwzględne stosowanie przepisów budowlanych, co na pewno ochrania przed skutkami ognia (jak pokrywanie budynków dachówką), lecz dla biednych stanowi ruinę. Największe pretensje ma do pana notariusza współpółstwo, bo uchwały Rady Miejskiej godzą przede wszystkim w nich. Elita trzyma z burmistrzem, który jako prezes „Sokoła” czyni wiele dla kultury. Sama postawa pana Lipińskiego budzi respekt. Wygląda dostojnie i imponująco, wyniosłość ma wypisaną na obliczu, często nosi staropolski strój, co dodaje mu estymy. Taki człowiek to piękna wizytówka miasta, a że nie dba o biedotę... Kto się kiedy przejmował dołami i prostackami? Czy zresztą naprawdę burmistrz wraz z budowniczym miejskim chce zrzućwać skromnych obywateli? W ostatnim „Mieszczanie” opublikowano ostre artykuły przeciwko panu Lipińskiemu. Nagonka naśląda się na wieść o chęci zbурzenia przez magistrat domu wdowy Kowalskiej, przytykające do realności burmistrza, w celu rozszerzenia jego posesji. Gazeta wytyka rzadkość posiedzeń Rady Miejskiej i zły stan ulicy św. Ducha, nie uporządkowanej jeszcze po pożarze.

Początek listopada 1895 r.

Złota, ciepła jesień przemieniła się w chłodną, ponurą szarugę. Pogodę zastąpiły wichry i ulewę.

(ciąg dalszy nastąpi)